

INSTYTUT IM. GENERAŁA STEFANA „GROTA”
ROWECKIEGO

TERESA MASŁOWSKA

ŻOŁNIERSKI WOŁAŁ NAS ZEW

POZNAŃ – KOŚCIAN – LESZNO 2014

© TERESA MASŁOWSKA

REDAKTOR KSIĄŻKI

JERZY ZIELONKA

PROJEKT OKŁADKI

GRZEGORZ PAWLAK

Na przedniej okładce: Młodzi żołnierze AK. Od prawej: Stanisław Dohnal, Mieczysław Zlat - przyszły historyk sztuki, Bolesław Teluk - rozstrzelany w grudniu 1943 r.

Na tylnej stronie okładki: prezes ŚZŻ AK Okręg Wielkopolska płk Jan Górski i wiceprezes kpt Maria Krzyżańska

SKŁAD KOMPUTEROWY

KAZIMIERZ RATAJCZAK

FOTOGRAFIE

- ARCHIWA RODZINNE HALINY CHMIELEWSKIEJ, STANISŁAWA DOHNALA, JANA GÓRSKIEGO, WOJCIECHA KĘSZYCKIEGO, MARII KRZYŻAŃSKIEJ, LUDWIKA MIŚKA, MIECZYŚLAWA PIENKOWSKIEGO, ALEKSANDRY SCHMIDT I MIECZYŚLAWA WOJCIECHOWSKIEGO ORAZ ZDJĘCIA TERESY MASŁOWSKIEJ

DRUK: ZAKŁAD POLIGRAFICZNY ZBIGNIEWA SOŁTYSIAKA

KOŚCIAN, UL. KS. SURZYŃSKIEGO 22

ISBN 978-83-61960-19-5

Zamiast wstępu

Otrzymujecie Państwo czwartą książkę Teresy Masłowskiej. Debiutowała siedem lat temu „Łącznikiem z Paryża” - reportażem dokumentalnym o legendarnym dziennikarzu Polskiej Rozgłośni Radia Wolna Europa w Paryżu red. Macieju Morawskim, wydanym przez nasz Instytut przy współpracy ze Starostwem Powiatowym w Kościanie oraz redakcjami „Głosu Wielkopolskiego” i „Panoramy Leszczyńskiej” [Leszno 2007]. Tomik, który otrzymał dobre recenzje w kraju i za granicą, doczekał się dwóch kolejnych wydań, poprawionych i uzupełnionych [Leszno 2008; Leszno 2009]. W 2008 roku, nakładem warszawskiej Kolejowej Oficyny Wydawniczej, ukazał się wybór jej tekstów historycznych, zamieszczanych na łamach „Kuriera PKP”, pt. „Bohaterowie żelaznych szlaków”, obejmujący 44 reportaże [Warszawa 2008]. Autorka ocaliła w nich od zapomnienia wielu polskich kolejarzy, dla których służba Ojczyźnie była najwyższą wartością. Dwa lata temu Starostwo Powiatowe w Kościanie w serii „Wierni Niepodległej” wydało książkę Masłowskiej pt. „Jeśli zapomnę o nich...” [Kościan 2012]. Ta publikacja zasługuje na szczególny szacunek, bowiem jest wynikiem żmudnych, benedyktyńskich badań, dzięki którym powstały krótkie biogramy członków Światowego Związku Żołnierzy AK – Okręg Wielkopolska, zmarłych w latach 1989 – 2011.

Wspólnym mianownikiem dla wymienionych wyżej publikacji jest najnowsza historia Polski; ściślej – wyszukiwanie patriotycznych postaw ludzi, którzy byli wierni Niepodległej i utrwalanie pamięci o nich. W ideę tę wpisuje się książka, która

macie Państwo przed sobą pt. „Żołnierski wołał nas zew”. Stanowi ona wybór dziewięciu reportaży Teresy Masłowskiej, zamieszczonych na łamach prowadzonych przez nią „Wiadomości Kościańskich”; reportaży, ukazujących życie żołnierzy Armii Krajowej, związanych ze Światowym Związkiem Żołnierzy AK – Okręg Wielkopolska. Nie jest trudno zorientować się, że Autorka jest uczuciowo związana ze środowiskiem Akowkim; że dziennikarska formuła tekstów daje jej możliwość emocjonalnego podejścia do opisywanych zdarzeń. Ale jednocześnie, co ważne z naukowego punktu widzenia, Masłowska weryfikuje zbierane przez siebie relacje świadków wydarzeń z opracowaniami historycznymi i dokumentami archiwalnymi.

Tytuł książki jest nieco zmodyfikowanym fragmentem strofy refrenu Hymnu Armii Krajowej, która brzmi: „Godzina pomsty wybija; Za zbrodnie, mękę i krew. Do broni! Jezus, Maryja! Żołnierski woła nas zew”. Teresa Masłowska zmieniła w tytule czas teraźniejszy na przeszły. Chciała nam zapewne powiedzieć przez to, że dzisiaj żyjemy w innych warunkach; że ofiara żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego nie poszła na marne; że teraz podstawowym wyznacznikiem patriotyzmu jest praca nad usprawnianiem Ojczyzny i pamięć o tych, którzy odeszli na Wieczną Wartę.

Nie zdradzę tajemnicy, że myśl o wydaniu książkowym wybranych reportaży cenionej i lubianej w naszym Instytucie dziennikarki kiełkowała w nas od dawna. Mieliśmy zrealizować ten zamysł w przyszłym roku. Ale obchodzimy 75. rocznicę Powstania Polskiego Państwa Podziemnego, 25-lecie Światowego Związku Żołnierzy AK Okręg Wielkopolska i - na dodatek - zbliżają się urodziny wiceprezesa Zarządu ŚŻŻ AK w Poznaniu kpt. Marii Krzyżańskiej, niestrudzonej Pani Marii – zdecydowaliśmy się przeto na przyspieszenie druku.

Pani Mario, książkę Tereski dedykujemy Pani, życząc Akowcom z Wielkopolski wszystkiego, co najlepsze.

Red. Jerzy Zielonka
Instytut im. Gen. Stefana „Grota” Roweckiego
w Lesznie

Wołało nas Wilno

- To było moje ukochane miasto, tam się urodziłam, stamtąd pochodziła moja rodzina. Znałam każdą uliczkę i każdy zaułek, ale we wrześniu 1945 r. musiałam opuścić Wilno na zawsze – mówi Halina Chmielewska.

Rodzice pochodzili z Wilna. Ojca Aleksandra Sienkiewicza wcielono do carskiej armii. Miał 19 lat i nikt go nie pytał o zgodę. Bił się w wojnie rosyjsko-japońskiej. Wrócił dopiero w 1922 r.

- Na przybyszy ze wschodu krzywo patrzono, wiadomo – komuniści, stąd długo nie mógł znaleźć pracy. Niewiele opowiadał, a my nie wypytywaliśmy. Potem kiedy dorosłam, nie było już kogo zapytać. Książki, historyczne opracowania to nie samo – opowiada Halina Chmielewska z Poznania.

Matka Urszula z Sielickich była sierotą, rodzice i brat zmarli na chorobę płuc, wychowywała się u krewnych w Oszmianie. Pracowała jako pielęgniarka, to w szpitalu poznała Aleksandra i wyszła za niego za mąż.

- Mama zachorowała na astmę. Bardzo cierpiała, a leków wtedy nie było. Zdrowej jej nie widziałam. Mieszkaliśmy w różnych rejonach miasta w związku z pracą ojca. Kochałam Wilno. Od wczesnych lat samodzielna, niespecjalnie towarzyska, uwielbiałam chodzić po kościołach, poznawać nowe zaułki i zakamarki, nieznanne przejścia, co mi się potem w konspiracji bardzo przydało...



Halina Chmielewska, ps. „Siena”

„Siena” w konspiracji

Szkolna prymuska w 5 klasie szkoły powszechnej wywołała aferę finansową. Za radą nauczycielki, ale bez zgody dyrekcji i wychowawczyni, zorganizowała loterię fantową dla więźniów politycznych. A że miała dar przekonywania udało się zebrać 21 złotych. Sprawa jednak zakończyła się awanturą.

- Wezwano ojca, groziło mi nawet wyrzucenie ze szkoły. Akcja przeprowadzona bez zgody dyrekcji, a monopol na loterie miało tylko państwo. Szkoda gadać... Wreszcie pozwolili mi zanieść zebrane pieniądze biednej rodzinie, której ojciec komunista siedział w więzieniu. I tak przez przypadek, o mało co, stałabym się socjalistką.

W 1939 r. Halina ukończyła pierwszą klasę Gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej w Wilnie. Była bardzo dobrą uczennicą, należała do harcerstwa. Krótco przed wrześniem służyła w oddziałach pomagających zmobilizowanym żołnierzom stacjonującym przejazdem na dworcu kolei towarowej. W sklepach zbierała pieniądze, żywność, pisała żołnierzom listy domu.

Pierwszy okupant zjawił się 17 września. Nastąpiła fala aresztowań, zaczęły się wywózki na Syberię. Krótco potem stery przejęli Litwini, którzy rozwiązywali polskie szkoły, w ich miejsce tworząc litewskie. Potem Litwa stała się republiką sowiecką, a Rosjanie otworzyli szkołę z językiem polskim. Dawni nauczyciele, których tam zatrudniono, zachęcali do powrotu do nauki.

Prawie wszystkie koleżanki Haliny z gimnazjum trafiły do IV Szkoły Średniej. Nauczyciele Litwini przeważnie nie mówili po polsku, a uczniów źle traktowali za nieznamość litewskiego. Nauczycielka i komendantka służby sanitarnej i łączności Związku Walki Zbrojnej Maria Szczerbińska wciągnęła ją do pracy konspiracyjnej. Działała pod pseudonimem „Siena”. Otrzymała zadanie utworzenia drużyny dziewcząt. Wybrała koleżanki z klasy – Irenę Taurogińską i Izabelę Gwoździńską oraz Marię Kożanównę jeszcze z „Orzeszkowej”. W tym składzie

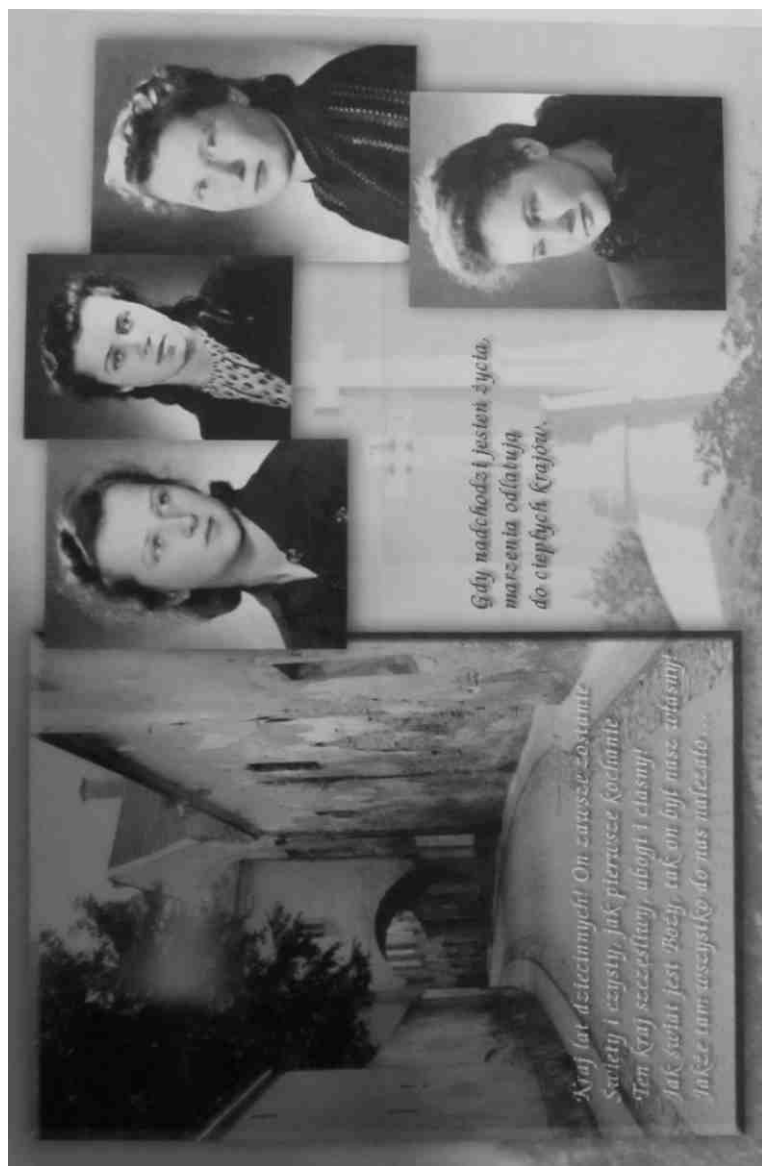
działały do końca wojny. Przeszły szkolenie sanitarne; u sióstr Urszulanek uczyły się robienia zastrzyków, opatrunków, słuchały wykładów z teorii medycyny profesora Kornela Michejdy - znanego wileńskiego chirurga. Halina jednocześnie była łączniczką przy Komendzie Miasta AK; przenosiła meldunki, broń, kolportowała podziemną prasę, gazety „Polska w walce”, „Za naszą i waszą wolność”.

- Polskiego uczył nas Józef Bujnowski, którego uważaliśmy za komunistę i zdrajcę, na każdym kroku okropnie mu dokuczaliśmy. Raz otrzymałam przesyłkę i adres doręczenia. Zapukałam, patrzę w drzwiach mój profesor. Konsternacja obustronna. Odtąd zawsze mitygowałam koleżanki, które go atakowały. Niestety, wiosną 1941 r. profesora aresztowano i wywieziono w głąb ZSRR, wyszedł z armią Andersa. Po 50 latach spotkaliśmy się w Poznaniu.

Oblawa

W czerwcu 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Do miasta wkroczyli Niemcy.

- Okupacja sowiecka kojarzy mi się z potwornym smrodem dziegciu, którym żołnierze pastowali buty. Przechodziła kompania, a za nią ciągnął się smród. Dla odmiany niemieccy żołnierze czyści, zadbani. Z początku odczuliśmy ulgę, myśleliśmy - jest okupant, ale cywilizowany, nie to, co ta azjatycka horda. Mama opowiadała o pierwszej wojnie i normalnych żołnierzach niemieckich, którzy przetoczyli się przez Wilno. Czas pokazał, jak bardzo się myliliśmy. Oczywiście Litwini, którzy byli dotąd oddanymi komunistami, natychmiast stali się niemieckimi patriotami i zaczęli z nimi współpracować. Szybko zlikwidowano szkoły, uniwersytet zamknięto. Zaczęliśmy naukę na tajnych kompletach, wiosną 1944 r. zdałam maturę. Uczyli nauczyciele z przedwojennego gimnazjum. Kontynuowaliśmy konspiracyjną robotę. Doszły dodatkowe zajęcia wojskowe, z topografii, uczyliśmy się posługiwać bronią.



Dziewczyny po wojnie nie straciły kontaktu. Widokówka zrobiona z okazji jednego ze spotkań drużyny

Niemiecka niewola przyniosła nową falę aresztowań i represji. Nikt nie był pewien dnia ani godziny. Ludzie wychodzili z domu zaopatrzeni w najpotrzebniejsze rzeczy, żeby w więzieniu, chociaż na kilka godzin, być zabezpieczonym. W maju 1942 r. Halina skończyła 17 lat. Powinna zgłosić się do niemieckiego urzędu pracy, ale tego nie zrobiła. Któregoś rana obława. Patrole niemiecko-litewskie przeczesywały dom po domu. Wyciągali wszystkich, którzy nie mieli dokumentów w porządku. Na wpół ubraną wywleczono ją na ulicę, gdzie z rękami nad głową stało już kilkanaście osób.

- Młody żołnierz, mógł być moim rówieśnikiem, spojrzał na mnie i powiedział: - Idź, ubierz się i wróć tutaj. Tak długo się ubierałam, że jak wyszłam, już nikogo nie było. Wiele lat później uświadomiłam sobie, że to była jedna z największych łapanek w Wilnie, a większość z zatrzymanych rozstrzelano w Ponarach. Opatrzność nade mną czuwała.

Nauczona doświadczeniem poszła do Arbeitsamtu. W fabryce cegieł przepracowała kilka tygodni, formując cegły gołymi rękoma, paznokcie zdarła do krwi. Uznała, że dłużej nie wytrzyma, znowu poszła do urzędu pracy. Dostała pracę szwaczki w fabryce kuśnierskiej prowadzonej przez Niemców holenderskich.

- Naprawialiśmy stare i szyliśmy nowe mundury wojskowe. Strasznej zimy 1943 r. w czasie obrony Stalingradu przychodziły futra, kozuchy z odmrożonymi palcami w kieszeniach. Wszystko zawszone, w rozporkach i szwach roiło się od gnid. Perfidnie, najpierw dawali nam ubrania do reperacji, dopiero potem do dezynfekcji. Po powrocie z pracy, w sieni zrzucałam z siebie ubranie, matka wszystko prasowała, a ja myłam się i przebierałam w domowe rzeczy. Cud prawdziwy, że nie zachorowałam na tyfus.

W obozie

Pewnego dnia litewski żołnierz przyniósł wezwanie. Nie przeczuwając niczego złego poszła na komisariat. Tam została aresztowana i umieszczona w obozie pracy przymusowej w dawnym klasztorze. Z początku myślała, że to w związku z działalnością konspiracyjną, a to za uporczywe uchylanie się od pracy.

- Te pół roku w zamknięciu jest białą plamą. Nie pamiętam, co jadłam, jak wyglądał dzień. Wiem, że w sali było nas dwadzieścia kilka kobiet, spałyśmy na podwójnych pryczach, ze zmierzwionymi workami, bez żadnego przykrycia. Pomieszczenie ogrzewano kozą, ale na ścianach osiadał szron, tak było zimno. Zdrapywałyśmy go ze ścian, żeby mieć odrobinę wody. Raz dziennie dostawałyśmy czarną kawę, którą oszczędzałam, żeby się umyć.

Rodzice robili wszystko, żeby ją wyciągnąć. Nigdy ich nie zapytała, ile ich to kosztowało. Dyrektor fabryki, w której szyla mundury zdenerwował się, że Litwini zabrali mu pracownicę. On prawdopodobnie także interweniował. W końcu ją wypuścili. Po kilku dniach urlopu, wycieńczona ze złośliwą anemią, musiała wrócić do fabryki. Niedługo tam popracowała, wkrótce załatwiła sobie zajęcie przy obliczaniu wynagrodzeń dla pracowników – Polaków zatrudnionych w firmach należących do Niemców.

- To była prawdziwa przechowalnia nauczycieli, sędziów, adwokatów, młodzieży. Wszyscy w konspiracji, chociaż jeden o drugim nie wiedział. Trochę pomagaliśmy Żydom, bo zaraz obok było getto, przekazywaliśmy trochę żywności, niewiele, bo sami nie mieliśmy. Pracowałam tam aż do ucieczki Niemców z Wilna.



Akowcy z „Ostrej Bramy” w 70. rocznicę Powstania Warszawskiego. (Halina Chmielewska druga z lewej)

W zawieszeniu

W 1944 r. wrócili Rosjanie. Halina zatrudniła się w Państwowej Komisji Planowania jako maszynistka litewskiego języka, wcale go nie znając. Radziła sobie. Do pracy miała daleko, więc zatrzymywały ją sowieckie patrole.

- Polka, to dlaczego nie wyjeżdżasz do siebie? – dopytywali. - Tutaj się urodziłam, tu jest moja rodzina i moje miejsce - odpowiadałam. W takim razie przyjmij sowieckie obywatelstwo. Całą rodziną odmówiliśmy, więc zaczęły się szykany. Zabrali nam dokumenty, ojca wyrzucili z pracy. Żyliśmy w zawieszeniu. Wiedzieliśmy, że musimy zostawić ukochane miasto.

W sierpniu 1945 r. wyjechali. Po dwóch tygodniach wysiedli w zrujnowanej Warszawie. Przerażający obraz. Zastanawiali się, co ich czeka z majątkiem, mieszczącym się w jednym kuferku i dwóch walizkach.

- Kiedy nas w Wilnie pytano dokąd chcemy jechać, podałam Poznań. Moja rodzina była bardzo patriotyczna, z tradycjami powstańczymi, w szkole bardzo mnie inspirowało powstanie wielkopolskie. W podręczniku do języka polskiego przeczytałam o powstaniu wielkopolskim, była tam reprodukcja obrazu powstańców walczących przy moście chwaliszewskim Leona Prauzińskiego. Przypomniałam sobie tę historię i powiedziałam, ja chcę do Poznania, bo tam są patrioci. Całe lata szukałam potem tego obrazu, na wystawie w poznańskim ratuszu znalazłam pocztówkę z reprodukcją. Na początku wojny Niemcy zamordowali malarza, a dwanaście obrazów z powstańczą tematyką spalili, pewnie wśród nich był także ten, którego szukałam.

*** Halina Chmielewska, z domu Sienkiewicz, urodziła się 13 maja 1925 r. w Wilnie. Ojciec Aleksander był urzędnikiem Magistratu Wilna, matka Urszula z Sielickich prowadziła gospodarstwo domowe. Szkołę powszechną ukończyła w 1938 r. i rozpoczęła naukę w Gimnazjum**

i Liceum im. Elizy Orzeszkowej w Wilnie. W czasie okupacji zaprzysiężona przez nauczycielkę Marię Szczerbińską do Związku Walki Zbrojnej, przyjęła pseudonim „Siena”. Z koleżanek z gimnazjum utworzyła drużynę konspiracyjną; kolportowały gazetki podziemne „Polska w walce”, „Za naszą i waszą wolność”, były kurierkami, przeszły kurs sanitarny. Halina była łączniczką przy Komendzie Miasta Wilno, przenosiła meldunki, paczki, broń. W 1942 r. została aresztowana i osadzona w obozie pracy w Wilnie. Chora i skrajnie wyczerpana zwolniona po pół roku dzięki usilnym staraniom rodziców. Kontynuowała robotę konspiracyjną.

Po wojnie musiała opuścić ukochane Wilno. 1 września 1945 r. z rodzicami wysiadła na stacji w Bydgoszczy. Studia na Akademii Handlowej ukończyła w 1949 r. w Poznaniu. Wyszła za mąż za Mariana Chmielewskiego. Mąż zmarł w 1986 r. Ma dwóch synów. Działa w Towarzystwie Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej w Poznaniu. Jest członkinią Środowiska „Ostra Brama” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręg „Wielkopolska”.

Pod swastyką i sierpem

- General Bór-Komorowski wydał rozkaz, by żołnierze szli na pomoc walczącej stolicy. Mieliliśmy broń, no to idziemy – zdecydowaliśmy. Pakowałem się, kiedy weszła matka. Ojciec w więzieniu, jej brat Roman Bereski w grobie, zginął pierwszego dnia w wielkiej bitwie legionistów z Rosjanami pod Jastkowem, a mnie smarkaczowi na Warszawę się zachciało – wspomina akowiec Stanisław Dohnal.

W II Rzeczypospolitej odzyskane Kresy Zachodnie wymagały zagospodarowania. Ojciec Stanisława, który był nauczycielem, trafił do Tczewa. Matka Jadwiga gdzieś na wschodzie kraju uczyła wiejskie dzieci, potem krótko zatrudniła się w urzędzie wojewódzkim w Toruniu. Rodzice Stanisława urodzili się w Przemyślu. Oboje ruszyli w świat i w tym świecie, dziś trudno dojść gdzie dokładnie, spotkali się. Ślub brali w Tczewie. Tam 21 stycznia 1927 r. urodził się ich jedyny syn Stanisław.

Tczew w latach 30. ubiegłego wieku był małym, niemieczonym miasteczkiem, z ponurymi, krzyżackimi kościołami. W nocy 1 września 1939 roku kolejarze w pobliskim Szymankowie udaremnią akcję niemieckiej V kolumny, informując wojsko, które zniszczy mosty w Tczewie, odcinając Wehrmachtowi drogę w głąb kraju. razi, po tym jednym z najdłuższych mostów w kraju, kilkuletni Stanisław spaceruje z ojcem. Dochodzą do połowy i zawracają, za Wisłą rozciągają się nieprzyjazne Prusy Wschodnie, dwa kilometry od Tczewa, za stacją Pszczółki, zaczyna się teren Wolnego Miasta Gdańsk.



Marian Dohnal, Delegat Rządu na Kraj, członek kierowniczej trójki „Rocha” na miasto i powiat Przemyśl

Rodzina Dohnalów mieszka u Niemki, nie hakatystki, która jednak wpada w czarną rozpacz, gdy córka zakocha się i wyjdzie za legionistę Jabłońskiego.

Cisza nad miastem

W Tczewie i okolicach ojciec Stanisława organizował szkoły średnie i zawodowe, w których także uczył. W II RP, niczym zawodowych wojskowych, nauczycieli przierzucano tam, gdzie było zapotrzebowanie. Po kilku latach pracowicie spędzonych na Pomorzu, w roku 1933, Mariana Dohnal przeniesiono służbowo do Pleszewa w Wielkopolsce. Został dyrektorem Gimnazjum i Liceum Staszica. Rodzinie dobrze się powodziło. Stanisław ukończył szkołę powszechną, zdał do pierwszej klasy gimnazjum. Jednak wcale nie było mu do śmiechu, ojciec ostrą ręką kierował szkołą, a od syna wymagałby więcej niż od innych. Niepotrzebnie się obawiał.

- W wakacje 1939 r. byliśmy na obozie harcerskim w Żerkowie. Obok nas biwakowały wielkopolskie pułki. Przytulili nas do siebie, zaferowali wikt, składający się z grochówki z czarnym chlebem. Częstowali nas blokami kawy z cukrem, którymi zajadaliśmy się jak cukierkami. Nagle, jednego dnia wojsko zwinęło się. Nas także wcześniej wysłano do domu. W mieszkaniach trwało gorączkowe zaklejanie szyb, my harcerze kopaliśmy rowy obronne. Jednego dnia gruchnęła wiadomość, że na wieży ewangelickiego kościoła policja znalazła skład broni. Pierwsze ogłoszenie mobilizacyjne zdarto ze względu na protest Anglii. Wojna wisiała na włosku – opowiada Stanisław Dohnal z Poznania.

30 sierpnia z walizką i plecakiem Stanisław z matką wsiedli do pospiesznego pociągu. Przed wojenną zawieruchą uciekali w rodzinne strony do Przemyśla. Marian Dohnal, który został w Pleszewie, żeby pilnować szkoły, dołączył do nich pod koniec września. Zamieszkali u siostry matki. Miasto było potężną austriacką twierdzą, ale poddało się bez walki. Nasi

żołnierze zmęczeni, maszerowali w upale, niektórzy w hełmach, inni bez, część w płaszczach, część z plecakami wycofywali się w kierunku Lwowa. Stanowili przeciwieństwo niemieckiego wojska, które dwa dni po nich wkroczyło do miasta. Wypoczęci, w porządnym mundurach, tylko z karabinem i przypiętą menażką, od razu zaprezentowali pokaz siły. Na rynku zgromadzili zdobycze wojenne; ciężkie karabiny maszynowe, hełmy, granatniki, maski przeciwgazowe. Ludzie stali i patrzyli w milczeniu. Szok i niedowierzanie. Był dopiero 15 września.

- Ledwo zaczęły się niemieckie porządki, 17 września poszła wiadomość, że idą Rosjanie. Może na pomoc – zastanawiali się jedni, pewnikiem Niemców będą bić – dowodzili inni. Niemcy nagle zniknęli, a weszli Sowieci. Czuło się z oddali, że suną całą ławą. Na początku jechały tankietki, za nimi w długich, szarych szynelach ósemkami szła piechota. Potem artyleria, która mnie zaskoczyła, bo była lepsza niż niemiecka. Na końcu kawaleria z kaukaskimi szabłami. Przerazająca masa. Szli, szli i szli...

Mniej wiesz, mniej powiesz

Odtąd połowę Przemyśla okupowali Niemcy, połowę zagarnęli Sowieci. Po wejściu Rosjan towar ze sklepów zaczął zniknąć, aż zostały same pustki. Ludziom doskwierał głód, brakowało pracy. Jedyne, co było, to „siemioczki” – pestki słonecznika, które żołnierze jedli i pluli pestkami na chodniki. Po domach chodziły trójki, Ukrainiec, Żyd i rosyjski żołdat z bronią. Węszyli po kątach, rabowali, co się dało.

W listopadzie mieszkańcy Śląska, Pomorza i Wielkopolski w ciągu dwóch dni mieli możliwość przekroczenia granicy i przejścia pod niemiecką okupację. Rodzina Dohnalów zdecydowała się przejść na drugą stronę Przemyśla na tzw. Zasanie, gdzie mieszkał dziadek ze strony ojca. Marian Dohnal niezmordowanie i do skutku, z innymi nauczycielami, drażyli u Niemców sprawę uruchomienia szkół dla dzieci. W końcu



Młodzi żołnierze AK. Od prawej: Stanisław Dohnal, Mieczysław Zlat - przyszły historyk sztuki, Bolesław Teluk - rozstrzelany w grudniu 1943 r.

otwarto dwuletnią szkołę kupiecką dla dzieci, które ukończyły szkołę powszechną. Uczył w niej, równoległe prowadząc tajne komplety. Od początku stycznia 1940 r. przewodniczył Komisji Oświaty, Nauki i Kultury polskich władz podziemnych. Na szczeblu powiatowym był Delegatem Rządu na Kraj z ramienia ludowców, do których należał jeszcze w Wielkopolsce oraz członkiem kierowniczej trójki „Rocha” na miasto i powiat Przemyśl. W domu zawsze były różnego rodzaju podziemne biuletyny. Stanisław doliczył się jedenastu tytułów. Kiedy zapytał o nie ojca, ten odpowiedział: - Synu, im mniej wiesz, tym mniej powiesz. W domu starczy już jeden, a ty jeśli możesz, to się nie pchaj do tych spraw. Dopiero z książek i dokumentów dowiedział się, co ojciec robił w okupację.

Marian uczył w szkole kupieckiej aż do aresztowania 27 kwietnia 1944 r.

- Gestapo przyszło po niego do domu. Akurat wracałem z tajnych kompletów, uczyłem się polskiego u profesora Stanisława Jodłowskiego, późniejszego autora, z Witoldem Taszyckim, popularnego słownika ortograficznego. Już na półpiętrze zauważyłem, że coś jest nie tak. Mama powiedziała: - Stasiu, biegnij do piekarni, bo trzeba kartkowy chleb odebrać. Odwróciłem się i wyszedłem. Za chwilę mama zrozpaczona przyszła do piekarni, którą prowadzili nasi znajomi. Ojca zabrali. Poszedłem do mieszkania oczyścić je z prasy podziemnej, bo spodziewaliśmy się, że jeszcze wrócą. Wtedy pracowałem w warsztatach szkoły rzemieślniczej. Po kilku tygodniach od nalotu gestapo, znajomy wpadł do warsztatu powiedzieć, że właśnie ojca wywożą. Pobiegnę na stację. Zobaczyłem kilkunastu skutych więźniów, których pilnowali Ukraińcy pod nadzorem gestapowca. Prowadzono ich do pociągu do Krakowa. Potem dowiedziałem się, że trzymali go na Montelupich.

Latem po wejściu Rosjan do Przemyśla stracili kontakt z ojcem. Nie wiedzieli, że zesłano go do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, następnie przerzucono do Northhausen i Dory. Był już bardzo słaby, kiedy 6 maja 1945 r. obóz w Ebensee

wyswobodzili Amerykanie. Synowi wspominał, że koniecznie chciał wyjść za bramę obozu, żeby poczuć się wolnym. Zdołał zrobić kilka kroków, za bramą padł zemdlony.

„Lachy za San”

- Rodzinna tradycja patriotyczna była taka, że kiedy ojczyzna w potrzebie, należy działać. Generał Bór-Komorowski wydał rozkaz, by żołnierze szli na pomoc walczącej stolicy. Mielśmy broń, no to idziemy – zdecydowaliśmy. Pakowałem się, kiedy weszła matka. Spojrzała na mnie, ale nie powiedziała ani słowa. Tylko dała mi ryngraf na łańcuszku. Pocałowałem ją i wyszedłem. Żał mi się jej potem zrobiło. Ojciec w więzieniu, jej brat Roman Bereski w grobie, zginął pierwszego dnia w wielkiej bitwie legionistów z Rosjanami pod Jastkowem, a mnie smarkaczowi na Warszawę się zachciało. Młodzież potrafi być okrutna. Poszedłem na zbiórkę, ale rozkaz odwołano. Młodszy oficerowie się zbuntowali, że to nonsens. Podobno żaden akowski pułk, czy oddział nie przebił się do stolicy.

W styczniu 1945 r. rozwiązano Armię Krajową. W okolicach Przemyśla Ukraińcy mordowali Polaków. Ukuli hasło „Lachy za San”, a tych, co się w porę nie wynieśli, zabijali. Wyrzynali sąsiadów, z którymi jeszcze nie tak dawno żyli w zgodzie, mąż zabił żonę Polkę. Rany obu stron do dzisiaj się nie zabiłiły.

- W święto Jordan (Objawienie Pańskie obchodzone 19 stycznia – dop. T.M.), Ukraińcy święcą wodę nad rzekami, jeśli są skute lodem wykuwają przeręble w kształcie krzyża. Koło cerkwi stał kościół katolicki. Jak ludzie tego dnia wychodzili z kościoła, Ukraińcy ich łapali i ciągnęli do rzeki pod krę, tak samo jak w 1918 roku. Rzeź trwała do mojego wyjazdu około 1946/1947 r. Jak chodziliśmy na zabawy, to do domu wojsko polskie nas eskortowało. Jednej nocy wychodzimy, patrzymy, znowu Krasieczyn się pali, innej – znowu Ostrów płonie. A jeszcze zanim Niemcy uderzyli na wschód oglądałem pogrzeb

Polski w Przemyślu. Ze wsi przyjechała banderia na koniach, ubrana w wyszywane koszule oraz tłum z miasta. Wielki wóz ciągniony przez konie z popami z przodu i z tyłu. Na wozie trumna z kajdanami i cierniową koroną – symbole ich niewoli. Procesja szła na cmentarz cywilno-wojskowy, gdzie odprawiono symboliczny pogrzeb. Baliśmy się, że na tym się nie skończy, ale wtedy na tym się skończyło.

Hasło bez odzewu

Od listopada 1943 r. Stanisław Dohnal działał w konspiracji, kolportował podziemną prasę. Pewnego dnia profesor Wojas zapytał go o pseudonim, wtedy okazało się, że nie jest w AK. Zaprzysiężenie odbyło się uroczyście. Tak, jak trzeba z krzyżem, biblią i świecą. Młody akowiec z przejęciem powtarzał słowa przysięgi. Przyjął pseudonim „Pomorzanin” i został skierowany do Biura Informacji i Propagandy, jako jeden z łączników prof. Wojasa. On nie wiedział o działalności konspiracyjnej ojca, a ten nie orientował się, że syn jest w AK. Pierwszym zadaniem było pozdzieranie niemieckich obwieszczeń, które były potrzebne do podziemnego archiwum.

- Zebrałem kilkanaście, chociaż miałem pietra, po nocy nie mogłem, bo godzina policyjna, za dnia byłem widoczny jak na dłoni. Jednak - przyklejone na żytnią mąkę - łatwo się odklejały. Drugie zadanie. Piórkiem i tuszem wyrysować sieć na pergaminie, zorientowałem się, że to były trasy przerzutowe meldunków. Raz dostałem rozkaz dostarczyć taki meldunek, paczkę wielkości dwóch pudełek zapalek, do Radymna. Ale miałem kartkowe pół litra i ktoś mnie podwiózł. Otrzymałem hasło, adres i opis człowieka. Miałem zapytać: - Czy obrazy z kwiatami są już gotowe? Odzew: nie ma z kwiatami, są z owocami. To była mała dziura, musiałem szybko zorientować się, gdzie to jest, żeby nie plątać się i nie zwracać uwagi. Wszedłem, pytam o obrazy, brak odpowiedzi. Powtórzyłem, znowu nic. Co robić?. Drzwi otwierane do środka, chłop wyższy



Bohater artykułu w siedzibie Okregu Wielkopolska ŚŻŻ AK w Poznaniu

ode mnie. Ale uśmiechnął się i pyta, a profesora z bródką znasz? Ja nic. - Hasło musiało się zmienić, niech pan da ten meldunek, przekażę go dalej. Co miałem robić. Oddałem. Zaprosił mnie do środka. Wtedy pierwszy raz od pięciu lat jadłem porządny przedwojenny obiad. Sznyceł, ziemniaki, kapusta. Jeszcze rosół. A potem leciałem 20 km z powrotem. Trochę byłem podszyty strachem, bo te tereny patrolowała UPA.

Latem 1944 r. na tych terenach byli już Sowieci. Na rozkaz dowódcy Stanisław zgłosił się do obywatelskiej policji. Z biało-czerwonymi opaskami patrolowali miasto, pilnowali porządku, bo po okolicy krążyły jeszcze niemieckie niedobitki. Następnego dnia mieli już konkurencję z czerwonymi opaskami. Na mieszkańców padł błady strach, że miasto zostanie znowu podzielone, że na Sanie będzie granica.

- Jesienią 1944 r. mieliśmy wydawać pismo, komendant sobie życzył, żeby akowska młodzież wydawała własne pismo. Takie na jedną kartkę. Dostaliśmy prymitywny powielacz, ryżę papieru. Mieliśmy zabrać się do roboty, wymyślić tytuł, tematy pierwszych artykułów. Chyba zgodziliśmy się na tytuł Głos Młodych. Napisałiśmy tekst na rocznicę 11 listopada. Wydaliśmy dwa numery, a w styczniu Armia Krajowa przestała istnieć. 20 stycznia byłem u szefa, odczytał rozkaz o rozwiązaniu. Ale przecież działamy dalej – stwierdziłem. Odpowiedział mi: - Wy, młodzi - już nie.

* Stanisław Dohnal urodził się 21 stycznia 1927 r. w Tczewie. Ojciec Marian był nauczycielem, matka Jadwiga także była nauczycielką. W roku 1933 Mariana Dohnala przeniesiono służbowo do Pleszewa w Wielkopolsce na stanowisko dyrektora Gimnazjum i Liceum im. Staszica. Stanisław ukończył tam szkołę powszechną, zdał do pierwszej klasy gimnazjum. Po wybuchu wojny znalazł się z rodzicami w ich rodzinnych stronach w Przemyślu. Jego ojciec zajmował się tajnym nauczaniem, a na szczeblu powiatowym był Delegatem Rządu na Kraj z ramienia ludowców. W kwietniu 1944 r. został aresztowany i trafił do obozu koncentracyjnego. Stanisław przysięgę żołnierską do AK złożył w listopadzie 1943 r. przybierając pseudonim „Pomorzanin”. Był łącznikiem w Biurze Informacji i Propagandy AK, kolportował gazetki

podziemne, pracował przy wydawaniu pisma „Głos Młodych”. W maju 1946 r. starał się o przyjęcie do Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Po ujawnieniu przynależności do Armii Krajowej, został pozbawiony prawa wykonywania zawodu. Cofnięcie tej decyzji uzyskał dopiero w 1957 r. Jest członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu „Wielkopolska” w Poznaniu.

W celi śmierci

W 1939 roku licealiście i harcerzowi Janowi Górskiemu sen z powiek spędzało jedno zmartwienie. Wojna wisiała na włosku, było prawie pewne, że lada chwila wybuchnie, a jemu i szkolnym kolegom zależałoby zaczęła się rok później.

– Martwiliśmy się czy zdążymy zdać maturę, by móc walczyć. Nie wyobrażaliśmy sobie, by wojna obyła się bez nas. Wierzyliśmy, jak wielu wtedy, że jesteśmy przygotowani; silni, zwarci, gotowi. W miesiąc rozbijemy Niemców, a przecież nie mogło nas zabraknąć na zwycięskiej defiladzie w Berlinie – wspomina ze śmiechem 88-letni płk Jan Górski, prezes Okręgu „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

W rodzinie Górskich patriotyzm nie był przedmiotem dyskusji, jeśli zaszła taka potrzeba kolejne pokolenia po prostu chwyciły za broń. Rodzice byli działaczami rewolucyjnej frakcji PPS Piłsudskiego, dziadkowie – uczestnikami powstania styczniowego. Dziadek Franciszek Adamski wiele lat spędził w sandomierskim więzieniu. Już miał skierowanie na Sybir, ale babcia ratowała go wyprzedając po trochu ziemię i przekupując carskich urzędników. Kiedy wreszcie wrócił do domu był już bardzo schorowany. Dziadek Józef Górski po upadku powstania musiał uciekać do Galicji, tam się ożenił i osiadł na stałe.



Z matką w majątku w Niemienicach w czasie okupacji

Brawurowe rozbitcie więzienia

Marzenia chłopców nie spełniły się. Kampania wrześniowa nie była ich udziałem. Ale już z początkiem 1940 r. Jan Górski nawiązał kontakt z ZWZ. Tam usłyszał: - „Zabierz się do nauki, zdaj maturę, potem pogadamy”. Rad nie rad, potraktował to jako pierwszy rozkaz, pojechał do Sandomierza, odszukał przedwojennych profesorów i solidnie przyłożył się do nauki. Rok później, już z maturą, zameldował się u podporucznika Władysława Pietrzykowskiego, ps. „Topór”, szefa Referatu II Obwodu Opatów ZWZ/AK.

- Zaprzysiężono mnie i zostałem łącznikiem między „Toporem” i komendą obwodu. Do 1942 r. pracowałem równocześnie w majątku przejętym przez Niemców, ale rzuciłem to, kiedy skierowano mnie na kurs podchorążych. Po tym jak w marcu otrzymałem stopień kaprała podchorążego całkowicie włączyłem się w konspirację.

12 marca 1943 r. żołnierze z grupy dywersyjnej Obwodu Opatowskiego i oddziału „Jędrusiów” zaatakowali opatowskie więzienie i uwolnili około 70 osób. To była duża udana akcja, o której mówiła cała okolica. Górski ubezpieczał grupę od strony Bramy Opatowskiej, skąd groził atak żandarmów.

Na przełomie 1942/1943 r. w miarę zbliżania się frontu sowieckiego uaktywniła się działalność komunistycznej Gwardii Ludowej. W powiecie opatowskim grasowała banda przerwowanego kryminalisty Lepiarza, do której przyłączyli się zbiegli z niewoli niemieckiej sowieccy żołnierze, m.in. niejaki kapitan „Saszka”. Banda w 1943 r. podporządkowała się dowództwu GL. 8 maja zaczęli się na leśniczówkę w Nieskurzowie, gdzie grupa operacyjna AK naradzała się w sprawie ćwiczeń wojskowych. Pod wieczór „Topór” wysłał podchorążego Górskiego z mel-

dunkiem do Komendy Obwodu do Gołoszyca. Wpadł prosto w łapy napastników.

- Podeszło do mnie dwóch drabów pytając o drogę do Biskupic. Zanim się odezwałem, jeden wyciągnął pistolet, z krzaków wyskoczyło jeszcze kilkunastu. Usłyszałem: „- To jeden z tych skurwysynów z AK, odprowadzić pod las i rąbać!”. Tylko dwóch poszło ze mną, reszta zaatakowała leśniczówkę. Pomyślałem: „- Teraz albo nigdy”. Chwyciłem za karabin i zacząłem się szamotać, wtedy ten drugi do mnie strzelił. Poczułem, jakby powietrze zaczęło ze mnie uchodzić, osunąłem się na ziemię. Zanim utraciłem przytomność usłyszałem jeszcze suchy trzask, to karabin nie wypalił, szykował się do następnego strzału, ale ten drugi stwierdził: „- Zostaw go, ten ma już dość”.

Zanim przegoniła ich stacjonująca w pobliżu kompania akowska zabili łącznika, zranili córkę leśniczego, zdążyli jeszcze podpalić budynki gospodarcze. Po kilku godzinach Górski oprzytomniał, resztką sił doczołgał się do domu leśniczego. Kula trafiła go w płuco, miał wielkie szczęście, że przeżył. Po dojściu do zdrowia skierowano go do dywersji w Podobwodzie Ćmielów, jednocześnie nadal pozostawał w dyspozycji szefa referatu II.

Po „Burzy”

W 1944 r. zaczęła się akcja „Burza”. Latem 1944 r. oddział, w którym służył Górski przekształcono w 5 kompanię 2 Pułku Piechoty Legionów AK, on sam awansował do stopnia plutonowego podchorążego.

- W lipcu i sierpniu pomagaliśmy Rosjanom w walce w Niemcami na przyczółku baranowskim. Oni zapewniali czołgi, my piechotę. Potem zażądali złożenia broni i podporządkowania się Berlingowi. Dowództwo sprzeciwiło się. Tymczasem dotarł rozkaz gen. Komorowskiego, by pospieszyć na odsiecz walczącej Warszawie. Zgodnie z rozkazem 2 pułk przeszedł przez front na tyły niemieckie i ruszył w kierunku stolicy. Jednostki dotarły do Przysuchej, ale w wyniku obsadzenia Pilicy silnymi oddziałami



Powojenne zdjęcie Jana Górskiego

Wehrmacht, przy braku ciężkiej broni, dostaliśmy rozkaz cofnięcia się w Kieleckie. Byliśmy mocno rozgoryczeni, tak chcieliśmy pomóc wykrwawiającej się stolicy.

Do listopada 44 r. stoczyli jeszcze wiele walk z niemieckim wojskiem, m.in. w Dziebałowie, Wąsoszu, Radkowie. Stopniowo akowcom zaczęło wszystkim brakować; amunicji, coraz trudniej zdobywali żywność, brakowało ubrań, żołnierze chodzili w zdartych butach. W tej sytuacji dowództwo AK podjęło dramatyczną decyzję o rozwiązaniu pułków z planem ponownego sformowania wiosną następnego roku. Rozkaz o demobilizacji zastał Górskiego w suchedniowskich lasach. Po kilku dniach w lasach koło Ćmielowa jego batalion został rozwiązany. Górski wrócił do rodziców. W styczniu 45 r. Niemcy jednego dnia zniknęli, w ich miejsce natychmiast przyszli Sowieci. Przez rodzinny majątek Górskich w Jagninie przetoczył się front. Nie było do czego wracać.

W rękach UB

Pod koniec stycznia 1945 r. Górski z bratem, który też był w AK, zostali aresztowani w Ostrowcu, skąd zbiegli, by szybko znowu wpaść w ręce UB.

- Po amnestii w sierpniu 1945 r. zostaliśmy zwolnieni, z ojcem wyjechalśmy na Pomorze Zachodnie. Zatrudniłem się w Zarządzie Wodociągów Miejskich w Szczecinie, gdzie pracowali już koledzy z konspiracji. Zaraz też przystąpiłem do WiN-u. W kwietniu 1946 r. wskutek prowokacji kolejny raz mnie aresztowano. Wyszedłem po kilku miesiącach po wszczeniu głodówki.

Zawsze chciał zostać lekarzem. Młody, pełen energii pracował, studiował wymarzoną medycynę, jednocześnie kończył drugi kierunek - ekonomię. Wtedy w 1949 r. mógł pomyśleć, że jego życie wreszcie wraca do normalności. Po Wielkanocy przyjechał do Poznania, tam go aresztowano, przewieziono do

Kielc, oskarżając o przynależność do bandyckiej organizacji Armia Krajowa i... współpracę z Niemcami.

- Śledztwo zaczęli od kopania i bicia. Za odmowę podpisania wymuszonych zeznań – karcer wielkości 1,5 na 1,5 metra. Dziesięć dni wegetowałem na betonowej posadzce, bez jakiegokolwiek okrycia, raz dziennie dostawałem kawę lub zupę, nie pozwalano skorzystać z ubikacji. Okropnie cuchnąłem. Przesłuchania trwały czasem bez przerwy dobę czy półtorej; sadzali mnie na odwróconym taborecie, bili po głowie, jeden ubek grubymi buciorami deptał po palcach.

Po półrocznym śledztwie nastąpił pokazowy proces, w którym posypały się wyroki śmierci na akowców z Obwodu Opatowskiego. Podporucznika Jana Górskiego skazano na śmierć za rzekome zabicie rosyjskich skoczaków, ich łączniczki i grupy Żydów. Sąd Najwyższy wyrok zatwierdził. Matka pisała prośbę o ułaskawienie do Bieruta, adwokat złożył odwołanie. Górski się zawiązał, nie prosił. W celi śmierci czekał na wykonanie wyroku.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Na początku każde otwarcie drzwi wywoływało myśl, że to już. Wyroki wykonywano między apelem a kolacją. Pamiętam w Wigilię zacząłem jeść, a tu otwierają się drzwi: „- Górski, wychodzić!” Byłem przekonany, że mnie powieszają. Pomachałem kolegom na pożegnanie. Mijam jedną kratę, drugą, trzecią, strażnik prowadzi mnie prosto na miejsce straceń, ale tuż przed skręca do działu administracji. Patrzę, a tam czeka na mnie adwokat. „- Niech pan więcej nie przychodzi o tej godzinie” – powiedziałem.

Na wolności

Na początku 1951 r. karę śmierci zamieniono na dożywocie. Przerzucano go ciągle do innego więzienia: Rawicz, po roku Racibórz, gdzie tracił wzrok, obóz w Potulicach, a kiedy doszedł do siebie, znowu Rawicz, potem Wronki, Szczecin, Sieradz. Rodzina cały czas starała się o ułaskawienie. We Wronkach Górski napisał wniosek o nadzwyczajną rewizję



Odstonienie pomnika Żołnierzy Wyklętych w Lesznie 1 marca 2014 r.

procesu. W 1956 r. zwolniono wszystkich akowców sądzonych razem z nim, a jego dokumenty procesowe rzekomo zaginęły. Wtedy rozpoczął głódówkę. Po 42 dniach, kiedy słabł w oczach, krótko przed świętami Bożego Narodzenia 1957 r. wyszedł na wolność. W więzieniu stracił dziewięć lat życia. Jan Górski jest wesołym, sympatycznym człowiekiem. Zastanawiam się jak to możliwe, że ani represje, ani długie lata w komunistycznym więzieniu, nie zmieniły go w zgorzkniałą osobę?

- Nienawisć niszczy tego, który ją czuje. To byli ludzie, których ten system zwiódł - robili, co im kazano. W większości to byli szubrawcy, którzy nas podle traktowali, ale zdarzały się wyjątki. We Wronkach był jeden, który nas pocieszał: „- Nie martwcie się, wypuszczałem więźniów w 1918, potem 1939 i was też wypuszcze”. Mało tego dostarczył komunikanty księdzu - więźniowi, by mógł udzielać komunii św.

*** Pułkownik Jan Górski ur. się 15 kwietnia 1922 r. w Jagninie w powiecie opatowskim. Rodzice Andrzej i Kazimiera z Adamskich gospodarowali na ok. 100 ha majątku. Uczęszczał do gimnazjum i liceum w Sandomierzu. Był harcerzem. Maturę zdał na tajnych kompletach w 1941 r. We wrześniu tego samego roku zaprzysiężony do ZWZ w Obwodzie Opatów. Przybrał pseudonim „Rzędzian”. Był łącznikiem między referatem II a Komendą Obwodu AK Opatów, działał także w dywersji podobwołu śmielowskiego. Uczestniczył w wielu akcjach i potyczkach z żandarmerią, Wehrmachtem, własowcami oraz zwykłymi bandytami. Dwukrotnie ranny. W 1944 r. został dowódcą plutonu wchodzącego w skład 2 Pułku Piechoty Legionów AK. W 1946 r. przez kilka miesięcy pracował w Zarządzie Wodociągów Miejskich w Szczecinie. Działał w WiN-ie. Ukończył ekonomię na Akademii Handlowej w Poznaniu. Kilka razy aresztowany przez UB. W 1949 r. ponownie uwięziony i skazany na śmierć. Po 9 latach wyszedł na wolność. Dokończył przerwane studia medyczne. Był lekarzem w szpitalu w Strzelcach Opolskich. Około 20 lat kierował Przychodnią Chorób Płuc i Gruźlicy w Kędzierzynie-Koźlu. Uzyskał I i II stopień specjalizacji. W latach 1981-1990, do przejścia na emeryturę, był lekarzem w Spółdzielni Krawieckiej „Moda” w Poznaniu. W 1959 r. ożenił się z Danutą. Mają dwie córki: Hannę i Beatę oraz syna Andrzeja. Doczekali się 6 wnuków i 2 prawnuków. W 1989 r.**

współtworzył Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Przez 9 lat był prezesem Środowiska „Jodła” i równocześnie członkiem Rady Naczelnej ŚZZ AK. Trzecią kadencję jest prezesem Okręgu „Wielkopolska” ŚZZAK. Odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych,

Adiutant Łubieńskiego

U porucznika „Mewy” wytrzymałem kilka miesięcy. Z lasu wyszedłem w czerwcu 1945 r. Wtedy skończyła się dla mnie wojna – wspomina Wojciech Kęszycki.

Jeszcze dobrze nie wybrzmiały echa walk kampanii wrześniowej, kiedy w Wielkopolsce zaczęły się masowe aresztowania, egzekucje i wysiedlenia. Potomkowie starego ziemiańskiego rodu Kęszyckich zostali zmuszeni do opuszczenia rodzinnego majątku Błociszewo 11 listopada 1939 roku.

- Z siostrą Józefą i bratem Stefanem wyjechaliśmy do Warszawy, zamieszkaliśmy u naszej siostry Marii. Tam koledzy ze szkoły morskiej w Gdyni wciągnęli mnie w konspirację, zostałem przydzielony do wywiadu. Z kolegą przeszliśmy tygodniowy kurs, który prowadził przedwojenny „dwójkarz”. Dostaliśmy rozkaz chodzenia za niemieckimi żołnierzami. Spisywaliśmy z ich naramienników, z którego pułku pochodzą, obserwowaliśmy także samochody, spisując ich numery rejestracyjne. Takich jak my było więcej, dzięki temu dowództwo posiadało rozeznanie o jednostkach przebywających w Warszawie lub przez nią przechodzących – wspomina Wojciech Kęszycki z Poznania.

Przed plutonem egzekucyjnym

Starsze rodzeństwo Wojciecha Kęszyckiego także działało w konspiracji. Cała trójka należała do organizacji Tajna Armia Polska. Jednym z jej organizatorów był rotmistrz Witold Pilecki,

który po aresztowaniach członków TAP i przewiezieniu ich do KL Auschwitz, dał się dobrowolnie zamknąć w obozie, by zorientować się w możliwości zorganizowania ich ucieczki. Rok 1940 był pechowy i dla rodzeństwa Kęszyckich, i dla organizacji. Wiosną Niemcy zgarnęli Stefana. Wpadł w czasie nalotu na studencki lokal „Bodega” na Nowym Świecie. Został wywieziony do obozu w Mauthausen-Gusen. Tam po pół roku zmarł.

Józefa była łączniczką i kolporterką podziemnej prasy, pracowała także w drukarni, w której wydawano podziemną gazetę „Znak”. Po dekonspiracji i fali aresztowań Józefa z siostrą Marią zamieszkały w Komorowie licząc, że gestapo zgubi ich ślad. Pewnie uniknęłyby wpadki, gdyby nie jej sprawozdanie znalezione u jednego z konspiratorów. Heroicznie wzięła na siebie całą odpowiedzialność, twierdząc, że pozostałe dziewczyny nie miały z tym nic wspólnego. Po ciężkim śledztwie, skazano ją na śmierć. Na wykonanie wyroku czekała w obozie w Ravensbrück.

- Józia przeżyła tam dwa lata, zaczęła mieć nadzieję, że o niej zapomnieli. Ale aparat niemiecki nie zapomniał. 16 lipca 1942 roku do obozu przyjechał pluton egzekucyjny, który ją i jeszcze dwie przyjaciółki rozstrzelał. W Ravensbrück więziono także naszą ciotkę Elizę Cetkowską, pochodzącą z Karczewa, matkę Ponikiewskiego, adiutanta Sikorskiego. Świetnie mówiła po niemiecku, więc była blokową. Akurat odbywał się wieczorny apel, kiedy te trzy dziewczyny prowadzono na śmierć. Siostra przechodząc zdołała jeszcze szepnąć ciotce: - Patrz wieczorem w niebo, będę ci mrugać z Wielkiej Niedźwiedzicy. Potem usłyszała salwę...

Egzamin z podpalania

Po aresztowaniu rodzeństwa dowódcy rozkazali Wojciechowi opuścić Warszawę. Oficjalnie zatrudniony jako rzadca w majątku Słocina, należącym do Chłapowskich,

w rzeczywistości kontynuował działalność konspiracyjną – był szyfrantem, gońcem, zapewniał mieszkanie ukrywającym się. W 1942 r. w Rzeszowie ukończył akowską podchorążówkę. Na tym terenie był to pierwszy kurs tego typu dla żołnierzy AK, jego instruktorem był Łukasz Ciepliński, ps. „Pług”, Wielkopolanin z Kwilcza.

- Egzamin praktyczny to nie były żarty, ani zabawa. Otrzymaliśmy zadanie podpalenia tartaku w Staroniwie – dzielnicy Rzeszowa. 22 kwietnia około północy, zapamiętałem, bo to był dzień przed moimi imieninami, we czterech, każdy z dwiema butelkami z benzyną poszliśmy na akcję. Przez wysoki drewniany płot dostaliśmy się do środka. Dowódca ustawił nas wzdłuż hali tartaku, dał komendę: - Ognia! Rzucił butelki, a my za nim. Jedna, druga zapaliły się, reszta nic. Z powrotem już nie górą, tylko wialiśmy przez dziury w płocie aż się kurzyło. Młody byłem, głupi, myślałem zadowolony, że mam cenzus, będę oficerem, to matura już mi niepotrzebna. Po wojnie w Poznaniu i tak musiałem ją zdać.

Młody podchorąży wrócił do Słociny i robił swoje. Kilka razy woził inspektora Cieplińskiego w wyznaczone miejsce. - Był małomówny i szalenie pobożny. Mieszkał na plebanii, codziennie chodził do kościoła z wielkim mszałem do nabożeństwa. Ludzie myśleli, że jest księdzem.

Śmierć dowódcy

W maju 1944 r. Wojciech Kęszycki został przeniesiony do Zassowa pod Dębicą i mianowany adiutantem komendanta Placówki AK Zassów Alfreda Łubieńskiego, ps. „Iwo”. 24 godziny na służbie; rozwoził po okolicznych wsiach meldunki, rozkazy, jeździł z Łubieńskim na teren zrzutów broni. Latem rozpoczęła się akcja „Burza”. Dowódca i jego adiutant poszli do lasu. W Gołęczynie doszło do jednej z największych bitew „Burzy” w południowo-wschodniej Polsce. Obie strony liczyły rannych i zabitych. Alfreda Łubieńskiego, rannego w nogę,



Przed pałacem w Błociszewie w 1935 r. Trzeci z prawej gen. Stefan Rowecki, piąty Wojciech Kęszycki

przewieziono do szpitala polowego. Adiutant i dowódca zostali rozdzieleni. Rana okazała się niegroźna, poza tym Łubieński uparł się, że nie wyjdzie z lasu, bo nie może spuścić z oka ukrytej broni. Ze swoim przyjacielem wykopali w lesie ziemiankę, w której mieszkali i strzegli zakopanego arsenału. Jednak Niemcy wkrótce ich namierzyli, wywiązała się strzelanina, w której obaj zginęli. Po „Burzy” oddziały akowskie z tego terenu, w tym Kęszyckiego, rozwiązano.

- Z lasu wyszedłem około października, znalazłem się w Krakowie. To był dopiero szok. Po mieście normalnie kursowały tramwaje, jeździły dorożki, ludzie chodzili po chodnikach. A ja prosto z lasu, zawszawiony, z brodą. Dziwnie się czułem. W dodatku przyszło mi tłumaczyć się z życia. Odnalazłem żonę Alfreda Łubieńskiego, poszedłem ją odwiedzić. Otworzyła mi drzwi i powiedziała: To pan żyje? Była przekonana, że ja, jego adiutant zginąłem razem ze swoim dowódcą. Opowiedziałem jak było. Łubieńskiego pochowano w rodzinnym grobowcu z Zassowie.

Na tajnych kompletach

Z Krakowa Wojciech Kęszycki pojechał do siostry Janiny Szumanowej do Zakopanego. Zapisał się na tajne komplety, w jego grupie uczył się m.in. Adam Hejmowski, syn mecenasa Hejmowskiego, który bronił poznańskich robotników po Czerwcu '56.

- Mąż siostry Ziemowit był malarzem, przyjmowali u siebie aktorów, pisarzy, którzy zjechali do Zakopanego po Powstaniu Warszawskim. Przysłuchując się ich intelektualnym dyskusjom doszedłem do wniosku, że tak właściwie, to ja nie mam nic do powiedzenia. Stąd decyzja o nauce.

W kwietniu miał przystąpić do matury, ale w lutym przyłączył się do Hejmowskich, którzy wyjeżdżali do Krakowa. Nie miał żadnego bagażu, pojechał jak stał. Pewność, że za pół litra wódki zabiorą się z Sowietami do Krakowa, stopniowo się

rozpływała, aż wyparowała koło Nowego Targu. Nie zamierzali się cofać. W dzień szli, nocowali u chłopów. W Krakowie rozłączyli się. Wojciech udał się do Rzeszowa, czekała tam na niego dziewczyna.

Potyczka z ubekami

Po drodze spotkał kolegów z lasu. Jechali do Przeworska, gdzie działał jeszcze oddział porucznika Jana Totha, ps. „Mewa”, który bronił tamtejszych mieszkańców przed Ukraińcami. Był marzec 1945 roku. Oficjalnie Armia Krajowa została rozwiązana, ale oni ciągle uważali się za Akowców. Z Sieniawy, gdzie mieli swoją kwaterę, robili wypadki przez San na ukraińską stronę. Początkowo oddział składał się z kilkunastu żołnierzy, ale ciągle dochodzili nowi, m.in. dezercerzy z armii Berlinga i wkrótce rozrósł do około dwustu.

20 marca porucznik „Mewa” otrzymał informację, że UB i NKWD będą przewozić aresztantów z Przeworska do Jarosławia. Postanowił urządzić zasadzkę i odbić więźniów.

- Pojechaliśmy na trzech wozach. Na zakręcie zjechaliśmy się z ubowcami. Jednocześnie i my, i oni zeskakiwaliśmy z wozów. Nasi pobiegli pod górkę w stronę lasu, oni w przeciwną stronę do rowu, a więźniowie, jak zobaczyli, co się dzieje, w nogi. Nosiłem na plecach karabin maszynowy, ciężka cholera, pewnie z 10 kilo ważył. Odbiłem z nim na prawe skrzydło, jak sobie życzył dowódca, strzelałem aż huczało. A dowódca, który był człowiekiem niesłychanej odwagi, nigdy nie kładł się na ziemię, chodził i rozkazywał. Nagle słyszę rozkaz: - Skokami do tyłu. Miałem pseudonim „Monokl”. On do mnie: - „Monokl” – osłaniać cofających się. No to jak nie zacznę znowu puć: ciach, ciach, ciach. Tak się starałem, że konia ustrzeliłem. Czy zabiłem jakiegoś ubowca, wątpię, ale biedny koń leżał na drodze. Lufa karabinu to mi się tak rozgrzała, że jak potem go niosłem na plecach, to miałem bąble od oparzenia.



Bohater artykułu w siedzibie Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, którego był prezesem

Więźniowie uciekli, kilku ubeków odniosło rany, czterech ludzi „Mewy” zostało na drodze. Wszyscy zginęli przy stanowisku jednego z karabinów maszynowych, które miały wadę w postaci za wysokiej podpórki, więc strzelający musiał się bardzo odchyłać.

- Akcja rozegrała się koło południa, potem odbiliśmy do jakiejś wsi, a po zmroku wróciliśmy po naszych. A tam okropny widok. Miejscowi pościągali im buty, zabrali płaszcze; leżeli boszi i prawie nadzy. Przewieźliśmy ich nocą do Sienia wy i złożyliśmy w podziemiach kościoła. Pogrzeb odbył się następnej nocy, chowaliśmy ich po kryjomu jak złoczyńców, wszystkich złożono do wspólnej mogiły. Księżda, który towarzyszył naszym chłopcom w ostatniej drodze, potem ubecja zamknęła. Dzisiaj mają ładny pomnik na cmentarzu w Sieniawie. Pojechałem zapalić im znicz, zostawiłem porcelanowe plakietki z napisem „Żołnierz AK”. U porucznika „Mewy” wytrzymałem jeszcze kilka miesięcy. Z lasu wyszedłem w czerwcu 1945 roku. Wtedy skończyła się dla mnie wojna.

*** Wojciech Kęszycki urodził się 1922 r. w Błociszewie. Pochodzi z ziemiańskiego rodu Kęszyckich, herbu Nałęcz, którzy od XVIII w. byli właścicielami Błociszewa. Ojciec Daniel Kęszycki (1884-1936) był kapitanem marynarki handlowej, uczestnikiem powstań wielkopolskiego i śląskich, konsulem RP w Opolu. Z Anglii, gdzie się urodził, do Błociszewa ściągnęła go jego babka Florentyna z Chłapowskich z Bonikowa, bratanica generała Dezyderego. Żona Daniela Kęszyckiego Julia z Ponikiewskich zmarła w wyniku wypadku kolejowego, kiedy Wojciech miał zaledwie rok. W majątku w Błociszewie gościli Wojciech Korfanty, ojciec chrzestny Wojciecha, generał Stefan Rowecki, późniejszy komendant AK; generał brygady WP Sergiusz Zahorski, komendant garnizonu śremskiego pplk Wilhelm Popelka, starosta śremski Jan Krykiewicz, dr Seweryn Matuszewski, rozstrzelany w publicznej egzekucji na rynku w Śremie w październiku 1939 r. i wielu innych. Po śmierci żony Daniel Kęszycki wycofał się z polityki i zajął prowadzeniem majątku i wychowaniem ośmiorga dzieci: pięciu córek i trzech synów. Najstarsza Maria została doktorem medycyny, wyszła za Lecha Buethnera Zawadzkiego, który zginął w Charkowie w maju 1940 r.**

Helena ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Poznańskim, została redaktorem naczelnym wydawnictwa „Arkady” oraz tłumaczką z języka francuskiego i włoskiego. Elżbieta ukończyła Szkołę Gospodarczą SS. Urszulanek w Pniewach, wyszła za mąż za Karola Kęszyckiego z linii karczewskiej. Janina była doktorem historii. Zaledwie 22-letnia ukochana siostra Wojciecha Józefa, maturzystka gimnazjum Sacre Coeur w Polskiej Wsi koło Gniezna, została rozstrzelana przez Niemców w Ravensbrück. Najstarszy syn Antoni, podchorąży 29. Pułku Piechoty w Ostrowie Wlkp. zginął w kampanii wrześniowej. Rodzina nigdy nie dowiedziała się kiedy i w jakich okolicznościach. Stefan, który miał odziedziczyć Błociszewo, zmarł w obozie koncentracyjnym w Mauthausen-Gusen. Wojciech Kęszycki nie tylko zdał maturę, ale także ukończył Akademię Handlową. Przez wiele lat pracował w Narodowym Banku Polskim. Jest członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu „Wielkopolska” w Poznaniu.

Łączniczka z AK

Maria Krzyżańska z Poznania, wiceprezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu „Wielkopolska” jest skromna. Trudno ją namówić na okupacyjne wspomnienia o czasach, kiedy była łączniczką w piotrkowskim oddziale Kedywu kapitana „Morusa” – Hilarego Moraczewskiego. - Nie uważam, żebym zrobiła coś takiego nadzwyczajnego, o czym warto pisać. W tamtej wojnie brało udział wielu naprawdę dzielnych Polaków - ja byłam tylko małym pionkiem w szeregach Armii Krajowej. Nie uważam, żebym się jakoś specjalnie zasłużyła.

Młodziutka łączniczka przenosiła rozkazy, broń, prowadziła nasłuch radiowy, przeprowadzała ludzi ukrywających się przed gestapo z jednej kryjówki do innej. Dom, w którym mieszkała z rodzicami i siostrami w Piotrkowie Trybunalskim był punktem kontaktowym Armii Krajowej. Nad tym, że w razie dekonspiracji groziła jej śmierć Maria Krzyżańska przemyka się bez rozczulania się; wspomni jedynie, że była aresztowana po ogólnej wsypie AK w Piotrkowie Trybunalskim, że później wraz ze starszą siostrą Ewą musiały się ukrywać aż do końca wojny. Przecież tak należało postępować, takie zasady wyniosła z domu.



Kilkuletnia Maria

Na wysiedleniu

Maria Krzyżańska, z domu Mikołajczak, urodziła się w zamożnej i szanowanej gnieźnieńskiej rodzinie. Rodzice posiadali dwie drogerie i hurtownię paliw. Ojciec był działaczem Stronnictwa Narodowego. W Gnieźnie endecja była silna, a jej członkowie wzajemnie się wspierali. Maria ukończyła sześcioklasową szkołę prywatną, zdążyła jeszcze zaliczyć dwie klasy Gimnazjum im. Błogosławionej Jolanty w Gnieźnie. We wrześniu 1939 r. rodzina Mikołajczaków zebrała trochę dobytku i ruszyła w kierunku Warszawy. Po długiej tułaczce i kłęsce wrześniowej wrócili. Kilka dni później, gdzieś pod koniec października, ojca Łucjana Mikołajczaka z innymi obywatelami miasta aresztowano jako zakładników. Kiedy siedział w więzieniu przy Rynku w Gnieźnie, do ich firmy wkroczył treuhänder, żeby zarekwirować drogerie.

- Ojca zwolnili wieczorem, a już nazajutrz przyszli nas wysiedlać. Jeśli dobrze pamiętam był 11 listopada 1939 roku. Siedzieliśmy przy śniadaniu, kiedy do mieszkania weszło kilku folksdojczów. To było pierwsze wysiedlenie w Gnieźnie i jedno z pierwszych w Wielkopolsce. Dali nam kwadrans, ale czegośmy nie dotknęli nie pozwalali zabrać - nawet pościeli. Ojciec był wybuchowy, strasznie się zdenerwował i wypalił do jednego z nich, bo go znał: - Ty niemiecki parobku, żarłeś polski chleb, a teraz się wysługujesz Niemcom. Nic mu za to nie zrobili. Na ulicy czekała ciężarówka. Nie wiedzieliśmy co nas czeka, czy nas wywiozą do obozu czy zastrzelą.

Po miesięcznym pobycie w gnieźnieńskim obozie rodzinę Mikołajczaków wysiedlono do Piotrkowa Trybunalskiego. Na początku mieszkali kątem u wdowy. Maria kontynuowała naukę na tajnym nauczaniu, ukończyła gimnazjum i dwie klasy liceum, zdała maturę.

- Moich nauczycieli wspominam z wielkim szacunkiem, naprawdę się sprawdzili. Dla bezpieczeństwa każda lekcja odbywała się w innym domu. Bardzo się starali, uczyli nas



Zdjęcie zrobione krótko po wojnie

narażając życie. Teraz nas stawia się za przykład, ale byliśmy młode, nie znówuż takie święte. Jednego dnia poszliśmy sobie – jakby nigdy nic - na węgry. Kiedy się spotykam z przyjaciółką z tamtego okresu, zawsze wspominamy, jakie byliśmy niezdolne i głupie. Ale młodość ma swoje prawa. Urządziliśmy nawet studniówkę, muzykę „puszczałyśmy” z patefonu zarekwirowanego z niemieckiego kina. Do dzisiaj go mam.

Akowska przysięga

Pierwszą przysięgę – razem ze starszą siostrą Ewą - złożyła jeszcze w Narodowych Siłach Zbrojnych. Organizacja działała niemrawo, nie otrzymywały żadnych poleceń, nie organizowano akcji przeciwko okupantowi.

- Myśmy się rwały do działania - szczególnie Ewa. Wkrótce spotkała człowieka, który po jakimś czasie wciągnął ją do konspiracji. To był Hilary Moraczewski, ps. „Morus” - komendant Kedywu na Inspektorat Piotrków Trybunalski. Siostra kierowała łącznością konspiracyjną kobiet i pracą kancelarii Kedywu Sztabu Dywersji „Sad” w Piotrkowie. Mnie także włączono do konspiracji. To już była Armia Krajowa. W grudniu 1942 roku przysięgę odebrał ode mnie Henryk Krzyżański, ps. „Stefan” – mój przyszły mąż. W pokoju panował półmrok, tworząc tajemniczą, romantyczną atmosferę. Było nas cztery, może pięć dziewcząt i wszystkie byłyśmy jednakowo przejęte.

Dom rodziców już wcześniej był punktem kontaktowym, ojciec też działał w akowskiej konspiracji, z czym się specjalnie przed córkami nie zdradzał. Ich mieszkanie, do którego prowadziły dwa wyjścia, z dużym podwórzem, gdzie zajeżdżały wozy z prowiantem dla Akowców, było idealnie położone.

- Rodzice radzili sobie jak mogli, prowadzili sklepik spożywczy. Na ladzie stał kosz z jajkami, mamusia weszła i chciała zabrać kilka na kolację, natknęła się na ukryte tam pistolety. Prawie zemdłała. Ale dzie lnie to zniosła, odłożyła jajka i wyszła. Dopiero wtedy się zorientowała, co się naprawdę

w domu dzieje. Wkrótce po drugiej stronie schodów zwolniło się mieszkanie, nam było ciasno w piątce, więc je zajęliśmy. Tam właśnie odbywały się narady i odprawy piotrkowskiego Kedywu.

Do obowiązków młodej łączniczki należała obsługa punktu kontaktowego, pomoc siostrze w pracach kancelarii, nasłuch radiowy, pisanie rozkazów na rzutowej miniaturowej maszynie do pisania, dostarczanie wiadomości i listów. W Kedywie nie bawiono się w ulotki, za to w izbie naprzeciwko zbierał się sąd wojskowy, który wydawał wyroki na zdrajców, skazano m.in. kilku szczególnie okrutnych granatowych policjantów, szefa urzędu zatrudnienia, konfidenta gestapo.

Najtrudniejsze chwile

Wsypa nastąpiła w maju 1944 r. Mikołajczakowie musieli zniknąć: ojciec z Ewą wyjechali do Warszawy, Marię umieszczono w majątku pod Piotrkowem, matka z Ireną pojechały do Radomia. Po jakimś czasie sytuacja nieco się uspokoiła, rodzice z najmłodszą siostrą wrócili do Piotrkowa. Ojciec ciężko zachorował i - mimo najlepszej opieki trzech łódzkich chirurgów – wkrótce zmarł. Po Powstaniu Warszawskim do ich mieszkania napływali uchodźcy. Konspiracja konspiracją, ale potrzebującym trzeba było pomóc. Dom był więc podwójnie obciążony. Wcześniej, bo w lipcu 1944 r. w Mokrej związał się 25. pułk piechoty AK, żołnierze stanęli do walki w akcji „Burza”. Z frontu wschodniego napływały optymistyczne informacje, przez co zakonspirowanie jakby zelżało, co okazało się brzemienne w skutkach.

- Kiedy w październiku 1944 r. gestapo przyszło nas aresztować, po drugiej stronie nocował Henryk Krzyżański. Potem opowiadał, że przeżył najtrudniejsze chwile w życiu. Bił się z myślami, czekać czy uderzyć z jednym pistoletem? Nie miał szans, a atak mógł sprowadzić śmierć na wszystkich mieszkańców. Dziwne, ale gestapo nie przeprowadziło rewizji w mieszkaniu, w którym było pełno obciążających materiałów.



Maria i Henryk pobrali się w 1946 r.

Siostry przewieziono do aresztu gestapo w Piotrkowie. Gestapowiec Ślązak prowadził Marię z przesłuchania i szepnął: - Jeśli masz jej coś do przekazania - mów. W kilku słowach powiedziała Ewie, co zeznała w śledztwie. To je uratowało, poza tym szły w zaparte i do niczego się nie przyznawały. Kiedy po trzech dniach je wypuszczono, nie mogły uwierzyć w swoje szczęście do tego stopnia, że Maria widząc na ulicy niemiecki samochód chciała do niego wsiąść. Całą rodzinę, jako uchodźców z powstania, przetrzucono do Rawy Mazowieckiej. A tam znów wyspa, kontakt spalony. Pomógł przypadkowo spotkany ksiądz. Po jakimś czasie matka z Ireną wróciły do Piotrkowa, Ewa z Marią wyjechały do Wolborza.

- Mieszkałyśmy z jakimiś starszuskami w chacie za wsią, żeby nie wzbudzać podejrzeń w ogóle nie wychodziłyśmy. Nie pamiętam, co robiłyśmy, chyba całe dni graliśmy w brydża. Henryk był z nami, ale wyjechał po mianowaniu go na kwatermistrza 25. pułku. Wtedy na kwatermistrzów brano najlepszych, bo jak potrzebny był cukier – to się go zdobywało, jak skóra – zatrzymywało samochód, brakowało pieniędzy - z pistoletami szli do banku. Na święta Bożego Narodzenia Henryk pojechał do Piotrkowa odwiedzić ciężko chorą matkę. I wpadł. Pomyśleć, że 17 stycznia 1945 roku Niemcy opuścili miasto, a jeszcze w grudniu go aresztowali i nieludzko skatowali. Nigdy do tego nie wracał, raz tylko wspomniał, że trudno wytrzymać z masce gazowej bez powietrza.

Niedobitki i maruderzy

Z piotrkowskiej siedziby gestapo przewieziono go do więzienia. Zachował się jeden jedyny gryps, w którym domagał się: „Przyślijcie mi gnata, bo chcemy się uwolnić stąd.” Więźniowie broni nie mogli się doczekać, więc wyrwali nogi od stołu i rozbili strażników, ale ci zdążyli powiadomić gestapo. Wywieziono ich do stacji w Piotrkowie i wsadzono w pociąg. W czasie nalotu sowieckich samolotów pod Kuluszkami, uciekli.

Henryk wrócił do Piotrkowa, a potem lasami przedostał się do Wolborza, gdzie czekała na niego Maria. Wcześniej z siostrą przeżyły niejedną chwilę grozy. Wojna dobiegała końca, a do chaty w Wolborzu zachodzili na zmianę - raz niemieckie, raz rosyjskie - niedobitki i maruderzy.

- Jednego dnia przybłąkali się Niemcy z frontu francuskiego. Jeden z żołnierzy kazał nam się zamknąć w izbie, sam położył się w poprzek tarasując drzwi. Rano już ich nie było, za nimi na horyzoncie pokazali się Rosjanie. Najpierw pojawił się jeden – obraz nędzy i rozpacz: obdarty, karabin uwiązany na sznurku, na nogach łąpcie, jak przyszli inni, to ich przegonił. Potem do okna zapukał zabiedzony Niemiec, pytał o „Brot”, ale my nie miałyśmy żadnego chleba. Wróg, bo wróg, ale było mi go żal.

Około 18 stycznia 1945 r. wrócili już z Henrykiem do Piotrkowa. Ewa z Henrykiem pojechali do Gniezna zająć ich przedwojenne mieszkanie. Kilka dni później przyszli ubecy aresztować Marię. Pytali o Marię Mikołajczak, poszła więc matka, także Maria. Na miejscu stwierdzili, że nie o nią chodzi. Zamieszanie trwało kilka dni. Tymczasem Maria na próżno szukała pomocy, prosiła znajomych, żeby ją przechowali. Nie zgodzili się, oddali tylko pistolet „Morusa”, który schowała w skrzyni z piaskiem, wyszła na ulicę i została aresztowana. Młodej łączniczce na ogół nie brakowało rezonu, ale kiedy zobaczyła w więzieniu same Niemki i pijanych ubeków, serce w niej upadło.

- Mój widok bardzo ich ucieszył. Zaczęłam okropnie wrzeszczeć i awanturować się, aż pojawił się komendant Maksymiuk – tak się chyba nazywał. Powiedziałam, że jestem Polką, boję się tam zostać, bo mnie zgwałcą. Zaczął mnie przesłuchiwać, bardzo dużo wiedział o AK, o Henryku, Hilarym, znał pseudonimy, nazwiska. Komendant stwierdził, że jednak musi mnie zatrzymać, no to znowu zaczęłam się awanturować. Zachował się jednak przyzwoicie, przydzielił żołnierza, który



Kapitan Henryk Krzyżański, ps. „Stefan”, „Ptak”

mnie przyprowadzał na przesłuchania. Trwało to dwa dni, a potem mnie puścili wolno.

Ubeckie naloty

Do Gniezna wróciła w lutym 1945 r. Rodzina odzyskała drogerię i mieszkanie. Jeden sklep prowadziła Maria, drugi matka z Ewą. Wojna się skończyła, jednak spokoju nie było. UB urządzał rewizje i naloty. W 1953 r. wpadli do mieszkania, wymachiwali pistoletami, zaczęli przeglądać książki strona po stronie, przeszukali każdy kąt, aresztowali Henryka Krzyżańskiego. Prawdopodobnie trafili do Krzyżańskich za Kazimierzem Załęskim „Bończę”, dowódcą Oddziału Partyzanckiego „Bończa”, później 2. kompanii 25 p.p., który ukrywał się u nich przez kilka tygodni.

W 1946 roku Henryk i Maria pobrali się, prowadzili drogerię, a Maria Krzyżańska zapisała się na studia w Akademii Handlowej w Poznaniu. W 1951 r. kiedy zabrano im drogerię, została księgową w rozlewni piwa, następnie w Zjednoczeniu Przemysłu Terenowego i Motoryzacyjnego w Gnieźnie. Z czasem przenieśli się do Poznania. Na początku lat 70. aż do emerytury w 1981r. pracowała w zakładach „Tarpan” w Poznaniu. Pod koniec lat 70. mąż ciężko zachorował.

- Nie mogłam uwierzyć, przecież był szalenie wysportowany; grał w koszykówkę, siatkówkę, tenisa, jeździł na nartach. Lekarz stwierdził, że odezwały się skutki tamtego pobicia na gestapo. Otrzymał rentę inwalidzką wojenną. Zmarł 18 maja 1979 roku. Bardzo mi go brakuje...

W 1989 r. nastąpiła wolna Polska, o którą walczyli żołnierze Armii Krajowej. Akowcy utworzyli swoją organizację Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Marii Krzyżańskiej nie mogło w nim zabraknąć.

- W poznańskiej siedzibie związku był już Felek Słomczyński z 25. pułku AK. Zaraz mnie „wrobili” w komisję weryfikacyjną. Nie byłam jeszcze przyjęta, a już byłam

członkiem komisji. To była trudna rola, skomplikowane sprawy do sprawdzenia. Nie chcę o tym mówić.

Od wielu lat z namaszczenia prezesa Stefana Ignaszaka - jest wiceprezesem Okręgu „Wielkopolska” ŚZŻAK. Ludzie przychodzą do niej ze swoimi sprawami, proszą pomoc. Czasem się zżyma, ale jeśli tylko może, pomaga. Jej pasją są tworzone przy szkołach Koła Przyjaciół Armii Krajowej.

- My odchodzimy po kolei na Wieczną Wartę - mówi. Teraz nasza nadzieja w tym, że o Polskim Państwie Podziemnym i Armii Krajowej pamiętać będą przyszłe pokolenia. Cała nasza nadzieja w młodzieży.

*** Kapitan Maria Krzyżańska urodziła się 15 listopada 1924 roku w Gnieźnie. Ojciec Łucjan Mikołajczak z matką Marią z domu Jaroszevska prowadzili drogerie i hurtownię paliw i oleju „Vakum Oil Company”. Ukończyła ekonomię na ówczesnej Akademii Handlowej w Poznaniu. Współautorka wielu książek. Na rozkaz podziwianej przez nią generał Zawackiej wyszukiwała dane do biogramów do „Słownika Kobiet Odznaczonych VM”. Zebrała notki biograficzne o 500 kobietach do kartoteki Memoriału w Toruniu. Od lat walczy o upamiętnienie zasług Wielkopolanek, walczących w szeregach AK. Zgromadziła około 60 fotografii kobiet - żołnierzy, na podstawie których Agnieszka Łuczak i Aleksandra Pietrowicz napisały książkę „Dziewczyny z AK – Wielkopolanki”. Z odznaczeń ceni najbardziej Brązowy Krzyż Zasługi z mieczami, który dowódca Hilary Moraczewski „Morus” wręczył jej na ślubie. Otrzymała także Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki. Na wniosek gen. Zawackiej przyznano jej „Medal Pro Memoria”.**

W konspiracji i w chmurach

Ludwik Misiek, wiceprezes Okręgu „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, ujmuje łagodnością. Ma poczucie humoru, cechuje go siła spokoju płynąca stąd, że wiele razy przychodziło mu brać się z losem za bary. Człowieka kształtują życiowe okoliczności; na niego piętno wywarły wojna i okupacja niemiecka oraz zamiłowanie do latania.

W 1939 r. Ludwik Misiek miał 13 lat. Był najstarszy z piątki rodzeństwa. To jemu przypadła rola głowy rodziny w czasie ewakuacji na wschód. Ojciec Ignacy Misiek, powstaniec wielkopolski, zawodowy podoficer WP poszedł na wojnę, walczył w składzie 70. pułku piechoty.

Piekło w Komarnie

1 września w Pleszewie dla rodzin wojskowej kadry zawodowej podstawiono pociąg, który miał je wywieźć w bezpieczne miejsce, z dala od wojennej pożogi. W dziewięć dni przejechali 1200 kilometrów. Na próżno. W Komarnie pociąg z kobietami i dziećmi namierzyły niemieckie bombowce.

- W bombardowaniu zginęło 116 z 280 osób z transportu. Ojciec wysłał mnie kiedyś na kurs Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, stąd wiedziałem jak należy zachować się w czasie nalotu. Kiedy rozpętało się piekło krzyczałem do kobiet z dziećmi, by padły na ziemię, bo odłamki cięły jak kosą. Jeden z nich trafił mojego młodszego brata Janka. Powodowany ciekawością wychylił się i odprysk dosłownie rozłupał mu



Z rodzicami i rodzeństwem

czaszkę. Po nalocie nastąpiła ciemność, a kiedy kurz opadł, wyłoniła się z niego niczym zjawą kobieta bez części ręki. Zabrałem od matki pasek i zawiązałem powyżej ramienia, żeby się nie wykrwawiła. Była cała we krwi, bo za pazuchą trzymała odciętą rękę, miała nadzieję, że w szpitalu ją przyszyją – wspomina Ludwik Misiek.

Nazajutrz poszedł odnaleźć i pochować brata. Spotkany na cmentarzu grabarz szczerze mu to odradzał. Ale uparł się. Kiedy jednak odsunął siano, którym nakryto zbiorową mogiłę widok pokiereszowanych zwłok i woń śmierci odrzuciła go - nie miał sił wejść do masowego grobu.

Przez lata sprawa grobu brata nie dawała mu spokoju. Na początku lat 90. ub. wieku otwarto granice i mógł pojechać do Komarna, dzisiaj na Ukrainie. Odnalazł sanitariuszkę, która we wrześniu 1939 r. oczekiwała na transport rodzin z Pleszewa. Pomogła mu znaleźć miejsce masowego grobu. Trzęsącymi się ze wzruszenia rękami zapalił znicz i pomodlił się pierwszy raz nad grobem brata. Nie spoczął dopóki nie stanęła w tym miejscu tablica upamiętniająca ofiary tamtej katastrofy. W 2005 r. Rada Miejska Komarna zgodziła się na postawienie pomnika. Warunek był jeden - sporządzenie listy zabitych. Ludwik Misiek odtworzył 53 nazwiska.

W placówce wywiadowczej

Rodzina tułała się jakiś czas po wschodnich rubieżach, by w czerwcu 1940 r. wrócić do Wielkopolski, zamieszkali w Topoli Małej. Ojciec na nich czekał - sam ranny trafił do niemieckiej niewoli, ale uciekł z transportu do oflagu. Misiek senior zatrudnił się w mleczarni w Ostrowie Włkp., konwojował mleko z wiosek do mleczarni. Praca ułatwiała działalność konspiracyjną, bo mógł w miarę swobodnie podróżować. Na początku był komendantem placówki wywiadowczej ZWZ/AK Przygodzice pod kryptonimem „Aluminium” w obwodzie Ostrów Włkp.,

nawiązywał kontakty z innymi obwodami np. jarocińskim. Wkrótce w konspirację wciągnął syna.

- W 1942 r. ojciec załatwił mi na fałszywych papierach pracę w ostrowskiej mleczarni, zacząłem mu pomagać. Po jednej z akcji dowództwo AK chciało mnie awansować na starszego strzelca rezerwy i okazało się, że nie jestem zaprzysiężony. Ojciec zaprowadził mnie do stodoły, która nawiasem mówiąc jeszcze stoi, zapytał czy chcę być żołnierzem AK. Chciałem. I to jak! Wyjął z kieszeni drewniany krzyżyk, na który położyłem dwa palce i powtarzałem za nim rotę przysięgi. To było wielkie przeżycie.

Ludwik Misiek wykonywał różne zadania dla placówki w Przygodzicach; był gońcem, kurierem, łącznikiem z sąsiednimi jednostkami AK – Jarocinem, Pleszewem. Pewnego razu otrzymał ważne polecenie - miał dostarczyć mapy potrzebne Armii Krajowej do wyznaczania placówek odbioru lotniczych zrzutów broni. Mapy zrzucono w Tursku w nocy z 14 na 15 września 1943 r. wraz z bronią dla Obwodu Jarocin (Pleszew) AK. Jego zadaniem było dostarczyć je do Ostrowa, gdzie już na nie czekał oficer zrzutowy dla Okręgu Ostrów Jan Kamiński. Ludwik Misiek musiał przejechać 60 km. Odległość nie stanowiła problemu dla młodego łącznika, tylko zakaz przemieszczania się bez odpowiednich dokumentów. Zdjął z roweru białą opaskę, którą musieli przypinać Polacy i ruszył do Pleszewa. Dojechał. „Schody” zaczęły się w drodze powrotnej do Ostrowa. Ludwik Misiek opowiada tę historię, jakby działa się nie ponad 60 lat temu, a wczoraj:

- Leciałem jak na skrzydłach z mapami zwiniętymi w rulon i przypiętymi do roweru. We wsi Sobótka wyskoczyłem zza zakrętu i struchlałem - niemiecki punkt kontrolny. Pierwszy stał policjant, trochę dalej dwóch uzbrojonych żandarmów. Błyskawicznie oceniłem sytuację: o wycofaniu nie było mowy, bo już mnie zauważyli, ucieczka w otwarte pole także nie wchodziła w grę, pozostało mi przejechać obok nich jakby nigdy nic. Mijając policjanta rzuciłem szybkie „Guten Tag”, bo „Heil



Chwile przed startem

Hitler” by mi nie przeszło przez gardło. Potem minąłem tych dwóch i czekałem na „halt”. Nic. Chyba nie przyszło im do głowy, że ktoś może być tak bezczelny. Odetchnąłem i pędziłem dalej.

W Ostrowie ostrzegł Akowców przed niemiecką kontrolą, bo właśnie przez Sobótkę chcieli jechać ciężarówką pełną broni ze zrzutu. Po tej akcji i przeszkoleniu podoficerskim awansowano go na kaprała i powierzono funkcję dowódcy drużyny w Ośrodku Kedywu Ostrów.

Pożegnanie z ojcem

W listopadzie 1944 r. aresztowano Ignacego Miśka. Wcześniej gestapo złożyło wizytę w mleczarni, przesłuchiwali syna. Po naciskach dyrektora zakładu, że jest potrzebny przy odbiorze mleka, puścili go wolno. Ojciec ostrzeżony o niebezpieczeństwie nie zgodził się na ucieczkę do lasu.

- Powiedział wtedy do mnie tak: - Niemcy myślą, że jest spokój, nie ma żadnej konspiracji. Pojechał do Raszkowa. Ale tam już na niego czekali. W czasie rewizji znaleźli orzełka z wojskowej czapki polowej, to wystarczyło do aresztowania. Towarzysze broni chcieli go odbić z aresztu w Raszkowie, znowu się nie zgodził. - W odwecie będą aresztowania - przekonywał. Taki był mój ojciec.

Ignacy Misiek zginął w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 r. w czasie pożaru więzienia w Radogoszczu. Syn przypuszcza, że gestapowcy zacierając ślady zbrodniczej działalności podpalili więzienie tuż przed nacierającym frontem sowieckim. 11 listopada 1944 r. Ludwik ostatni raz widział ojca:

- Komendant referatu II wywiadu Inspektoratu Ostrowskiego Albin Glapa powiadomił mnie, że ojca będą przewozić koleją z więzienia gestapo w Ostrowie do Łodzi. Był wieczór, padał deszcz. Chodziłem w tę i z powrotem po ul. Kolejowej. Zobaczyłem grupę skutych więźniów, mijając mnie ojciec powiedział: - Zajmij się rodziną, bądź dobrej myśli.

Wojna zabrała mu ojca i brata, a jej koniec nie zapowiadał upragnionej wolności. Trudno było pogodzić się pogodzić z niemiecką okupacją, jeszcze trudniej z wrogiem, który mówi tym samym językiem

- Moja wojenna przeszłość nie podobała się władzy ludowej. Kłopoty zaczęły się, gdy przyznałem się do akowskiej przeszłości. Egzaminy do Wyższej Szkoły Inżynierskiej zdałem bardzo dobrze, ale za pierwszym razem mnie nie przyjęto. W lotnictwie też nie miałem spokoju, na pewien czas odebrano mi prawo latania na samolotach. Przebiegłością i perfidią komuniści często przewyższali Niemców. Ale nie czuję nienawiści, uważam ten system za żaloszny, z politowaniem myślę o tych ludziach i ich działalności. Nie są warci, by się nimi zajmować.

Dziewięć godzin w powietrzu

Wielką życiową pasją Ludwika Miśka jest latanie. Samolotami zainteresował się jeszcze przed wojną. Ojciec zabrał go na miejsce wypadku samolotu pod Pleszewem:

- Katastrofa wcale mnie nie odstraszyła, wręcz przeciwnie. Pewnie dlatego, że samolot się rozbił, ale lotnicy uszli z życiem. Z czasopism ojca po kryjomu wycinałem fotografie związane z lotnictwem, jak to zobaczył zrobił mi awanturę, ale kolekcję różnych samolotów już miałem.

W 1945 r. po powstaniu Aeroklubu Ostrowskiego zgłosił się na kurs szybowcowy. Tego roku zaledwie raz oderwał się od ziemi, wiosną następnego roku zaczęło się prawdziwe latanie. Z czasem przyszły pierwsze rekordy. Największy sukces osiągnął w 1959 r., w Aeroklubie Poznańskim pobił rekord świata lecąc szybowcem z Kobylnicy do Olsztyna i z powrotem:

- 8 godzin 55 minut w powietrzu. Przeleciałem 533,6 km. Cały czas w napięciu, skoncentrowany, wykorzystywałem wiedzę i intuicję, znajomość warunków meteorologicznych. Kryzys zdarzył się koło Inowrocławia. Wydawało się, że to koniec, że nie dolecę, rozpaczliwie szukałem tak potrzebnych prądów



Od prawej ppłk Stefan Ignaszak, mjr Ludwik Misiak, N.N.

wznoszących. Myślałem sobie, jeśli uda mi się dolecieć do Gniezna, to dalej dam radę, bo tam nad jeziorem w rynnie polodowcowej musi być prąd wznoszący. Był. Gdzieś na wysokości Pobiedzisk pierwszy raz pomyślałem, że może mi się udać. Po wylądowaniu nie mogłem o własnych siłach wyjść z szybowca, ani wypowiedzieć słowa, tak mi zaschło w gardle. W czasie lotu wskutek adrenaliny w ogóle nie czułem głodu ani zmęczenia. Koledzy już na mnie czekali i pomogli mi wydostać się z kabiny.

Na szybowcach latał przez 61 lat, czyli do 80 roku życia. Jednego z ostatnich lotów nie zapomni nigdy. Pilotował szybowiec Jantar 1, już w powietrzu silny prąd zerwał osłonę kabiny a z nią przymocowany aparat fotograficzny. Żał mu było nie aparatu, ale filmu ze zdjęciami z pogrzebu słynnej lotniczki Wandy Modlibowskiej, wyznaczył nagrodę dla znalazcy. Minęło ponad pół roku, nic się nie działo, pogodził się ze stratą, kiedy pewnego wieczoru zadzwonił znalazca. Nazajutrz przyniósł aparat. Film przeleżał w wodzie, ale kilkanaście zdjęć udało się uratować.

Ludwik Misiek twierdzi, że cierpliwość i determinację w działaniu wyrobił w nim sport:

- W powietrzu można liczyć tylko na siebie, swoją wiedzę, refleks i intuicję. Pilotowanie szybowca uczy cierpliwości i pokory wobec sił przyrody. Latanie na nich to wspaniałe uczucie, frunie się jak ptak, w przestworzach panuje niesamowita, wspaniała cisza, którą zauważa się dopiero latając szybowcem.

*** Major Ludwik Misiek urodził się w 1926 r. w Pleszewie. Ojciec Ignacy był zawodowym żołnierzem WP, matka Maria z Grzegorowskich prowadziła dom i wychowywała dzieci. W latach okupacji niemieckiej Ludwik Misiek był żołnierzem ZWZ/AK, pseudonim „Robert”. 9 października 1942 r. zaprzysiężony do Armii Krajowej. W latach 1943 - 1944 działał w ostrowskim Kedywie. Brał udział w walkach osłonowych o Ostrów w styczniu 1945 r. Nie ujawnił się w Urzędzie Bezpieczeństwa i do 20 sierpnia 1945 r. działał w tzw. II konspiracji, należał do Wielkopolskiej Samodzielnej Grupy Ochotniczej „Warta”. W latach**

1948-1952 studiował w Wyższej Szkole Inżynierskiej, w latach 1967-1969 na Politechnice Poznańskiej. Jest inżynierem magistrem inżynierii lądowej. Pracował w biurach projektowych w Poznaniu, według jego projektów zbudowano wiele mostów, wiaduktów, osiedli mieszkaniowych, hoteli itd. W latach 1977-1980 pracował jako urbanista na kontrakcie w Libii. W 1986 r. przeszedł na emeryturę. Jest wiceprezesem Zarządu Okręgu „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, w którym działa już ponad 20 lat. Odznaczony m.in. Krzyżem AK, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Jest mistrzem sportu wyróżnionym m.in. Diamentową Odznaką Szybowcą, odznaką Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej i wielu innych. Autor i współautor wielu książek m.in.: „Encyklopedii Konspiracji Wielkopolskiej”, „Lotnicze historie”, „Okręg Poznański Armii Krajowej w końcowej fazie okupacji (1943-1945)”. Pisze drugą część „Lotniczych historii”.

Z Krakowa do Poznania

Nowakowie mieli jedną córkę Bronisławę. Z burzą niesfornych włosów, regularnymi rysami, była po prostu śliczna. Ukończyła konserwatorium, pięknie grała na fortepianie. Stanisław Pieńkowski junior najpierw usłyszał, potem zobaczył zjawiskowej urody istotę grającą na fisharmonii do niedzielnej mszy. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

W rodzinie Mieczysława Pieńkowskiego związki z literaturą i sztuką były bliskie od pokoleń. Najbarwniejszą i nieco kontrowersyjną postacią był dziadek Stanisław Pieńkowski, endek, dziennikarz, bezlitosny krytyk literacki, pisarz i poeta. Po zachłyśnięciu się socjalizmem w młodości, przybrał kostium konserwatysty i nacjonalisty, współpracował w pismami endeckimi. Na łamach prasy prowadził spory z Tuwimem, dosyć ostre i nieprzyjemne. Co tu dużo mówić - za Żydami nie przepadał. Pisał młodopolskie wiersze, dzisiaj nieco zapomniane. Kilkanaście z nich opublikował w „Życiu” Stanisława Przybyszewskiego. W 2005 r. ukazały się tomik jego wierszy i przekładów „Dusza tłumy”. Stanisław ożenił się z córką pastora Marią Cunft.

- Poznali się w Krakowie. Moja babcia Maria, która doskonale znała język niemiecki przetłumaczyła dziadkowi Nietschego „Tak mówił Zarathustra”, wydane w 1901 r. Było to pierwsze tłumaczenie na polski. Dziadek zachowywał się jak macho, deprecjonował jej pomoc i głównie sobie przypisywał



Porucznik Stanisław Pieńkowski, junior, w 1921 r.

autorstwo przekładu. Był trochę niebieskim ptakiem, w dodatku niewiernym. W zawierusze wojennej poznał w Kijowie aktorkę – piękną Wandę Jakubowską, stracił dla niej głowę. Wziął z nią ślub w jakimś dziwnym obrzędzie, zostawiając w Warszawie prawowitą żonę – opowiada wnuk Mieczysław Pieńkowski.

Dziadkowie od strony matki byli rodziną spokojną i ułożoną, z zasługami dla lokalnej społeczności. Przez wiele lat mieszkali w Lutowiskach w Bieszczadach. Dziadek Karol Nowak był w gminie sekretarzem. Wskutek usilnych starań w Lutowiskach zbudowano kościół katolicki, wcześniej korzystano z gościnności greckokatolickiej cerkwi. Karol Nowak nie żałował pieniędzy z własnej kieszeni, ponoć budowę wsparła nawet królowa angielska. W wojnę świątynia zostanie złupiona i zamieniona w stajnię. W 1936 r. Karol przeszedł na emeryturę, przeniósł się z rodziną do Sanoka. Opatrzność Boska nad nim czuwała, bo w 1942 r. Niemcy urządzali w Lutowiskach rzeź Żydów, Romów i Polaków, zresztą przy gorliwej pomocy ukraińskiej policji. W 1944 r. Ukraińcy zabili ich krewną Jadwigę Ziółkowską.

- Ciotka, która była felczerką nie chciała opuścić wioski. Mówiła: - Pomagam im, dlaczego mieliby mi zrobić krzywdę? Pożegnała się z bliskimi, sama została w Lutowiskach. Nie minęło wiele czasu, jak zwabili ją do rzekomo chorego i zabili. Nie ma nawet grobu.

Porażeni miłością

Nowakowie mieli jedną córkę Bronisławę. Z burzą niesfornych włosów, regularnymi rysami, była śliczną dziewczyną. Ukończyła konserwatorium, pięknie grała na fortepianie. Stanisław Pieńkowski junior najpierw usłyszał, potem zobaczył zjawiskowej urody istotę grającą na fisharmonii do niedzielnej mszy.

- Ojciec przyjechał do Lutowisk na zaproszenie kolegi. Zakochał się w mamie od pierwszego wejrzenia, zresztą

z wzajemnością. Sprawy potoczyły się błyskawicznie, jeszcze przed wyjazdem oświadczył się. Dziadkom wcale się nie podobał ten warszawiak. Jeszcze większy skandal wybuchł, kiedy wyszło na jaw, że jest kalwinem. W końcu niechętnie, ale zgodzili się na ślub. Ojciec dla mamy zmienił wiarę, został katolikiem. Rodzice bardzo się kochali i szanowali. Poza mną mieli jeszcze czworo dzieci.

Stanisław junior ukończył prestiżowe gimnazjum Batorego w Warszawie, rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, które przerwał, by utrzymać rodzinę. Z początku nie wiodło im się najlepiej. W Warszawie nie mógł znaleźć zatrudnienia, z kolegą założył przedsiębiorstwo transportowe w Fordonie, dzielnicy Bydgoszczy. Wspólnik go oszukał, rodzina została bez środków do życia. Wyjechali do Lublina, tam w urzędzie wojewódzkim zajmował się sprawami mniejszości narodowych. W 1933 r. przeniósł się z rodziną do Poznania, z biegłą znajomością niemieckiego został specjalistą do spraw mniejszości w urzędzie wojewódzkim – tym razem – niemieckiej.

- Już w Lublinie rodzicom lepiej się powodziło, w Poznaniu mieliśmy ładne czteropokojowe mieszkanie na Kościuszki. Chodziłem do gimnazjum Paderewskiego. Zdążyłem otrzymać promocję do drugiej klasy, kiedy wybuchła wojna. Z rodzeństwem spędzaliśmy właśnie wakacje u dziadków w Sanoku. Dwa tygodnie później do Sanoka dotarli rodzice. Ojciec, który nie pogodził się z klęską kampanii wrześniowej kupił rower, którym przejechał ponad trzysta kilometrów do Warszawy, by nawiązać kontakt z dawnymi znajomymi z Polskiej Organizacji Wojskowej.

W konspiracji

Musiał być październik '39, kiedy w mieszkaniu księdza Góreckiego w Miejscu Piastowym Stanisław – junior utworzył Inspektorat Służby Zwycięstwu Polski na powiaty: sanocki,



Bronisława Pieńkowska w 1932 roku w Lublinie

krośnieński, brzozowski i jasielski. Przybrał stary peowiacki pseudonim „Strzembosz”, potem „Hubert”. Został pierwszym inspektorem SZP, potem jego komendantem. Na plebaniach zakładał punkty przerzutowe dla żołnierzy, którzy przez Węgry chcieli się przedostać do armii polskiej we Francji.

Najstarszy syn Mieczysław, wtedy kilkunastoletki, pomagał ojcu w konspiracyjnej działalności; przewoził meldunki, pieniądze. Jeździł do ojca, który poszukiwany przez Gestapo, ukrywał się po różnych mieszkaniach.

- Nieraz pokonywałem po kilkadziesiąt kilometrów rowerem. Wiele razy jeździłem w różne miejsca, także do ojca do Żarnowca. Przebywał w dworku Marii Konopnickiej, w którym schronienia udzieliła mu córka sławnej pisarki – Zofia. Niemcy rozstrzelali jej męża za konspirację. Pamiętam, że częstowano mnie dobrym obiadem i jechałem z powrotem. Po latach zabrałem tam wnuka Pawła, stoimy w jadalni, a on pyta: - Dziadku to przy tym stole jadłeś obiad z panią Konopnicką? Poza funkcją łącznika Armii Krajowej chodziłem do szkoły, ukończyłem szkołę handlową, pracowałem we młynie, czasem udawało mi się przynieść trochę mąki do domu. Babcia robiła najlepszy pod słońcem galicyjski przysmak ćwibak i barszcz ukraiński. Do dziś nie potrafię się zdecydować, które z tych dań bardziej lubiłem.

Pod koniec 1941 r. Stanisława Pieńkowskiego w stopniu kapitana skierowano do działalności wywiadowczej w Okręgu Krakowskim Związku Walki Zbrojnej. Organizował komórki wywiadowcze, które dostarczały strategicznych informacji o ruchach wojsk niemieckich, zwłaszcza po wybuchu wojny z ZSRR. W Rozwadowie kapitan Pieńkowski spotkał dawnego znajomego z Poznania Eryka Kandziore, który prowadził tam sklepik. Zaraz też założyli punkt wywiadowczy w Rozwadowie. Później Kandziore, którego ktoś zdradził, rozstrzelano na rzeszowskim rynku.



Mieczysław z siostrą Jolantą po wojnie w Poznaniu

Najtrudniejszy rozkaz

W sierpniu 1944 r. Sowieci opanowywali już wschodnie rejony kraju. Stanisław Pieńkowski, który był zastępcą pułkownika Kazimierza Putka - komendanta Podokręgu Rzeszów AK, po aresztowaniu Putka przez Sowieców w lutym 1945 r. wydał swój najtrudniejszy w życiu rozkaz. Dotyczył on rozwiązania Armii Krajowej na terenie Rzeszowszczyzny. Major Pieńkowski przedtem poszukiwany przez Gestapo, teraz był ścigany przez Sowieców i funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Kilkakrotnie aresztowany w sumie przesiedział prawie rok w ubeckim więzieniu w Rzeszowie.

Latem 1945 r. Mieczysław z matką wrócili do Poznania. W 1946 r. Stanisław dołączył do rodziny. Podjął pracę w Polskim Związku Zachodnim, który skierował go na świadka w procesie norymberskim. Miał dobre rozeznanie wśród niemieckich organizacji nazistowskich działających w Wielkopolsce przed 1939 r., więc zeznawał przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim. Potem znalazł zatrudnienie w Centrali Rybnej, ale szybko podziękowano „zapłutemu karłowi reakcji”, wysyłając go na emeryturę. Wtedy odkrył w sobie pasję pisarską, którą odziedziczył po dziadku. Usiadł przy biurku i pisał.

- Z tego pisania powstały trzy opasłe tomy: pierwszy „POW i czasy przedwojenne”, drugi „Rodzina i jej środowisko”, trzeci „Na drogach i ścieżkach Armii Krajowej”. Te dwa ostatnie, w których wspomina o związkach naszej rodziny z wybitnymi postaciami ze świata literatury, polityki i wojska oraz działalność w Armii Krajowej są – moim zdaniem - najciekawsze. Zmarł w 1989 r., nie zdążył wydać wspomnień. Zastanawiam się czy je opublikować i czy kogoś jeszcze interesuje historia? Ojciec był łagodnym człowiekiem, uprzejmym, grzecznym – prezentował przedwojenną kindersztubę. Jednocześnie jako żołnierz w I wojnie światowej i komendant w Armii Krajowej był stanowczy i odważny. W pierwszej wojnie światowej został ciężko ranny. Był piłsudczykiem i legionistą. Marszałek przyznał mu Krzyż



Odślonięcie pomnika Żołnierzy Wyklętych w Lesznie 2014 r. Od lewej: Mieczysław Pieńkowski, Marian Sobkowiak, Stanisław Holak

Niepodległości, z drugiej wojny wyszedł z Krzyżem Virtuti Militari V klasy. Mama była nie tylko piękną, ale także mądrą i zaradną kobietą. W domu zawsze było pianino, na którym często grała. Sama dobrze grała w szachy, mnie także nauczyła.

Mieczysław Pieńkowski lubi poezję, nieraz sam pisze, a wiele wierszy zna na pamięć. Jeden z nich to „*Sic transit*” Wincentego Koraba-Brzozowskiego w tłumaczeniu jego dziadka:

*Życie moje – to odblask daleki –
Co pewnego poranku zajaśniał przed wieki,
I pewnego wieczoru zagaśnie – na wieki
W tajni Istnienia.*

* Por. Mieczysław Pieńkowski ur. się 5 sierpnia 1925 r. w Fordonie. Jego ojciec Stanisław – rodzony warszawiak, rocznik 1900. Matka Bronisława, z domu Nowak, urodziła się w 1903 r. we Włoczkowice na Kresach Wschodnich. W 1939 r. Mieczysław Pieńkowski ukończył I klasę Gimnazjum im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu. W Sanoku zrobił średnią szkołę handlową. Był łącznikiem Armii Krajowej, po złożeniu przysięgi przybrał pseudonim „Długi”, następnie „Miecz”. Tytuł magistra ekonomii uzyskał w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Poznaniu. Pracował jako biegły rewident m.in. w Zakładach Cegielskiego, przez 30 lat zajmował kierownicze stanowiska w Izbie Skarbowej w Poznaniu. W 1998 r. został członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Poznaniu. Od początku jest skarbnikiem Zarządu Okręgu „Wielkopolska” ŚZZAK. Kontynuuje dziennikarsko-kopisarskie tradycje rodziny Pieńkowskich. Współpracuje z Biuletynem Informacyjnym ŚZZAK, Biuletynem Informacyjnym Okręgu „Wielkopolska” ŚZZAK oraz „Wiadomościami Ziemiańskimi”.

Na fałszywych papierach

- Kiedyś szliśmy przez Hożą zdobyć kawałek chleba dla rodziny Jerzego. Patrzymy, pięciopiętrowa kamienica przecięta na pół jak nożem. W ocalonej części normalnie meble stały, na ścianie wisiał obraz, a druga połowa leżała w gruzach - wspomina Aleksandra Schmidt z Poznania, uczestniczka Powstania Warszawskiego, łączniczka i sanitariuszka organizacji „Ojczyzna”, Armii Krajowej, więzień niemieckich oflagów.

Po aresztowaniu starszego brata Mariana, zagrożona wpadką, Aleksandra musiała zniknąć z Poznania. Większość rodziny Marcinkowskich działała w konspiracyjnej w organizacji „Ojczyzna”.

- W 1943 roku na fałszywych papierach wyjechałam do Warszawy. Zresztą nie tylko ja musiałam uciekać, w stolicy szukał schronienia także Jurek Schmidt, mój przyszły mąż. Otrzymałam nową tożsamość, odtąd byłam Krystyną Witkowską, z dokumentami po zmarłej dziewczynie, bo jej śmierci nie zgłoszono w urzędzie. Musiałam się nauczyć na pamięć nowej siebie; zapamiętać nowe miejsce i datę urodzenia, że była ode mnie dwa lata starsza, że mieszkała przy Szaserów. Poszłam nawet obejrzeć ten dom...



Aleksandra Schmidt, ps. „Ewa”, „Lobelia”

„Lobelia” w powstaniu

Zamieszkała u matki Jerzego Schmidta, przyszłego męża, zapisała się na tajne nauczanie i została łączniczką w „Ojczyźnie”.

Przed powstaniem poszli na Koszykową, gdzie organizacja miała ukrytą broń. Spotkali znajomego: - Dokąd idziecie, przecież za chwilę się zacznie? Usłyszeli serię strzałów, wpadli do bramy, spojrzeli na zegarek. Wybiła 17.00. Wieczorem wiedzieli, że powstanie wybuchło.

- Z chodników wrywaliśmy bruk na barykady. Telefony jeszcze działały, chociaż trudno było się do kogokolwiek dodzwonić. Dzień był letni, ciepły miałam na sobie tylko lekką sukienkę, torebkę i sandały. Niewesoło, ale byliśmy podekscytowani i pewni, że Sowieci, jak tylko zobaczą powstanie ruszą na odsiecz, a oni zza Wisły spokojnie patrzyli na wykrwawiające się miasto.

Powstanie zastało ich w okolicach Wspólnej, Kruczej i Żurawiej. Działali tam chłopcy z Batalionu „Beł” Armii Krajowej. Aleksandra, ps. „Ela”, została przydzielona do sekcji sanitarnej, bo jeszcze przed wojną przeszła kurs w harcerstwie, a potem praktykę w warszawskim szpitalu Dzieciątka Jezus. Dowódca wymyślił im po drugim pseudonimie. I tak została „Lobelią”, wtedy nie wiedziała, że to drobne, szafirowe kwiatki. Inne sanitariuszki trafiły gorzej na „Tymianek” lub „Rumianek”. Dzień zaczynały od wymarszu z plutonem, opatrywaniu ran, transporcie ciężej rannych do szpitala. Wieczorem wracały na nocleg, codziennie w innej placówce. Na początku nie było źle, działała powstańcza stołówka, stały beczki z wodą, można było się umyć, a nieraz były całe we krwi. Potem odcięto gaz, wodę i prąd.

- Wciąż pamiętam ciężko rannego młodego chłopaka na Marszałkowskiej. Snajper postrzelił go w brzuch, mocno krwawił. Tylko szpital mógł go uratować. Z pobliskich kamienic ludzie przynieśli diabelsko ciężkie nosze, ale znaleźli się dwaj

rośli folksdojcze, którzy bez szemrania zanieśli rannego, tylko że szpital był pusty, nie było lekarza. Ranny błagał, żeby go tam nie zostawiać, jednak zbliżała się godzina policyjna, której nasi ostro pilnowali. Obiecałam dać znać jego towarzyszą z oddziału. Ledwo opuściliśmy szpital, wyrósł przed nami patrol. Uparli się zabrać nas na komendę. W końcu pokazałam im mankiety czerwone od krwi i zapytałam: - Chcecie żebym was też tak kiedyś ratowała? Opuścili.

Snajperzy zaczajeni w wieżach, na dachach, w oknach polowali na powstańców i cywilów. Jerzego też trafiła snajperska kula. Zasłaniali okna workami z piaskiem, dostał w rękę, chociaż pewnie kula była przeznaczona w serce. Jeszcze dobrze mu ręki nie włożyli w temblak, od razu pobiegł do plutonu, a do zmiany opatrunku trzeba go było prawie zmuszać. Ciągłe zajęty, ciągle w biegu, przed powstaniem zdążył zrobić akowską podchorążówkę i prawo jazdy.

Miasto grobami się znaczy

- Kiedyś szliśmy przez Hożą zdobyć kawałek chleba dla rodziny Jerzego. Patrzymy, pięciopiętrowa kamienica przecięta na pół jak nożem. W ocalonej części normalnie meble stały, na ścianie wisiał obraz, a druga połowa leżała w gruzach. Widok wprost niewiarygodny – zapewne robota pocisków zwanych krowami. W końcu zdobyliśmy chleb, nieśliśmy go jak skarb, bo codziennie jedliśmy tylko kaszę okraszoną topionym masłem, od której wszyscy cierpieliśmy na rozstrój żołądka. Kiedyś Jerzy przyniósł mi udko królika, co za uczta. Koleżanki śmiały się, że to wcale nie był królik, a w Warszawie nie ma już ani jednego psa, ani kota.

Na ogół nie było im do śmiechu. Miasto stawało się jednym wielkim cmentarzem. Grób przy grobie, jak zabrakło trawników, chowano na podwórkach, na końcu wzdłuż chodników, skąd wcześniej wyrwano bruk. Czasem powstańcy



Bohaterka artykulku po wyzwoleniu z obozu w mundurze brytyjskiej armii

przejmowali sowieckie lub alianckie zrzuty, jednak częściej wpadały w niemieckie łapy.

- Zrzuty z kukurużników były beznadziejnie zapakowane, przy lądowaniu kasza i mąka rozsypywały się. Kluski z tej mąki trzeszczały w zębach. Raz chłopcy odważyli się rozpaścić ognisko, żeby dać znać, gdzie zrzucić pojemniki. Niemcy rąbnęli w nich pociskiem, potem zbieraliśmy osobno ręce, głowy. Wszyscy zginęli. Jedna paczka zawisła na szczycie zbombardowanej kamienicy. Patrzyliśmy na nią łakomie, ale nikt nie palił się do jej zdjęcia. Trafił się pijaczyna, który wdrapał się na górę licząc na gorzałę. Radość była ogromna, słodycze, masło orzechowe, no i wódka. Zaraz ją wypił. Jeszcze dziś pamiętam jak lekarze bez skutku próbowali go uratować...

Powstanie dogorywało. Ogłoszono zawieszenie broni. Nagle po dwóch miesiącach nieustannych wybuchów bomb, świstu pocisków zaległa cisza, od której dzwoniło w uszach. Generał Antoni Chruściel „Monter” pożegnał się z powstańcami obiecując, że będą traktowani jak żołnierze. Oficerów czekał oflag, resztę stalag. W strugach deszczu pokonani szli 20 kilometrów do fabryki w Ożarowie. Wśród nich Jerzy i Aleksandra.

– Ten zakład nadal stoi, jak jadę do Warszawy, zawsze go widzę.

Brukiew i kawa z żołądzi

Pierwszy obóz był w Lamsdorfie, czyli w Łambinowicach, tam oddzielono oficerów od niższych rangą. Przywitano ich myciem i upokarzającym odwszawianiem. Spały na trzypiętrowych łóżkach w wieloosobowych barakach. Na śniadanie podawano kawę bez smaku, niektórzy twierdzili, że z żołądzi. Na obiad gotowana kapusta z ziemniakami lub brukwią. Mięso zobaczyły pod koniec wojny, kiedy przyjechała komisja Czerwonego Krzyża z Genewy i Niemcy chcieli pokazać jak dobrze traktują jeńców. Na apelach ustawione piątkami, bez

końca stały na placu. Po przeliczeniu mogły wrócić do baraków. Część kobiet wyszła z powstania w porządnym ubraniu, niektóre nawet w futrach, ale wiele miało na sobie tylko rozpadające się ubranie, czy znoszone buty. Przeniesiono je stamtąd po trzech tygodniach, mężczyźni zostali dłużej.

Komendantką we wszystkich obozach, przez które przeszła Aleksandra Schmidt, była Wanda Gertz ps. „Kazik”, jej zastępczynią Janina Karaś ps. „HK”.

- Od komendantki, jej wysokiej i szczupłej postaci wprost biła godność i duma. Jak się do niej zwrócił Niemiec, to spojrzała jak na gada, rozmawiała z nimi tylko przez tłumaczkę. Z kolei jej zastępczyni Janina Karaś była urodzoną organizatorką, w Warszawie współpracowała z Komendą Główną AK. Jeszcze w Lamsdorfie uznały, że na tę liczbę żołnierzy szeregowych przypada zbyt mało oficerów. Urządziły komisję, przed którą się stawiałam, opowiedziałam, co robiłam w okupację i chociaż byłam tylko plutonową, zaliczyły mnie do grupy oficerów. To były mądre kobiety, bardzo je szanowałyśmy.

Po Lamsdorfie był Mühlberg, w którym Aleksandra Schmidt spędziła około pół roku. Olbrzymi męski obóz, w którym od 1939 r. przebywali między innymi uczestnicy kampanii wrześniowej. Mężem zaufania polskiej grupy jeńców był poznaniak Leitgeber, syn właściciela sklepu, ucieszył się ze spotkania z krajanką. Przebywali tam jeńcy różnych narodowości, a wszyscy chcieli dokarmiać kobiety z Powstania Warszawskiego. Anglicy, którzy wywalczyli sobie własną kuchnię i kucharza, wzięli je na swój wikt.

Kolejny obóz, do którego trafiły kobiety z powstania znajdował się w Altenburgu w pomieszczeniach po dawnym teatrze. Widownia zasłana pryzami służyła za sypialnię. Komendantem był ponoć baron, zawsze z monoklem, prawdziwy oryginał, wcale sobie nie radził z zarządzaniem obozem. Za to przejawiał resztki ludzkich uczuć. Kiedyś rozkazał rozdać jeńcom po pół paczki żywności z Czerwonego Krzyża. Niemieckie



Jerzy Schmidt, członek organizacji „Ojczyzna” i żołnierz AK

władze obozowe regularnie otrzymywały paczki dla więźniów, ale zatrzymywały je dla siebie.

Ostatni na mapie jenieckiej wędrówki Aleksandry Schmidt był Mohldorsf. Dopiero tam otrzymała pierwszą wiadomość od Jerzego, który wciąż był w Lamsdorfie. Wojna dobiegała końca, ale nasiliły się alianckie naloty, które nie zawsze zdołały ominąć obozy jenieckie i koncentracyjne.

- Podczas bombardowań władze obozowe kazały leżeć na pryzkach, oczywiście sami pochowali się w schronach. Kiedyś o 6 rano usłyszaliśmy nadlatujące samoloty, walka toczyła się o pobliski most, alianci chcieli go uratować, Niemcy zburzyć. Nagle seria pocisków poszła po naszych barakach. W dziewczynę, która wyjrzała na zewnątrz, uderzył pocisk wyrywając jej kawał brzucha, zmarła na miejscu. Boże, była taka ładna i młoda. Rannych było więcej, jednej przestrzelono nogi, innej płuca. Propaganda niemiecka odtrąbiła, że to alianci specjalnie ostrzelali obóz. Nasza komenda stwierdziła, że po pociskach ich poznać. Władze niemieckie utworzyły komisję, która uznała, że pociski padły z obu stron, ale nam ich nie pokazali.

Ostatecznie Niemcy zdecydowali się wysadzić most, a kobiety otrzymały rozkaz wymarszu do lasu na wzgórze. Z daleka obserwowały wybuch, który zniszczył most, przy okazji zawaliły się baraki. Wtedy pognali je na wzgórze Krakau koło miasteczka Blankenheim – wcześniej ośrodka Hitlerjugend.

- W wieżyczce siedział hitlerowiec, prawdopodobnie dyrektor ośrodka, który dawał nam ziemniaki, i to tylko tyle, żebyśmy nie umarły z głodu, a miał jedzenia w bród. Wkrótce przyjechali Amerykanie i zaczęli nas ostrzeliwać, bo z planów wynikało, że to jest obóz Hitlerjugend. Wyciągnęłyśmy zawczasu przygotowaną białą-czerwoną flagę, ale drań kazał ją natychmiast zdjąć. Leżałyśmy na podłodze, a dwie kobiety poszły z flagą do żołnierzy powiedzieć im, że jesteśmy Polkami z Powstania Warszawskiego więzionymi przez Niemca. Jak rąbnęli w wieżyczkę, oberwał w rękę aż krew trysnęła. Pokarało go na naszych oczach. Darł się wniebogłosy: - „Hilfe, hilfe”. Proszę



1 sierpnia 2011 r. na spotkaniu po uroczystościach rocznicy wybuchu powstania

sobie wyobrazić, że nie pobiegł do swoich po pomoc, tylko do nas. Któraś z lekarek ulitowała się i zawiązała opaskę ponad raną, żeby się nie wykrwawił. Amerykanie przyszli, zabrali go i był spokoj. Trzynastka jest dla mnie szczęśliwa od tego czasu, bo właśnie 13 kwietnia nas uwolnili.

Kobiety były osłabione z głodu. Komendantka kazała więc położyć się na pryczach. Amerykanie obiecali, że druga linia wkrótce się nimi zajmie, sami pojechali do miasteczka, które bielilo się od wywieszonych flag. Dowódca oddziału stał w czołgu, wtedy jakiś zapiekły nazista strzelił i go zabił. Znowu rozpętało się piekło. Wojsko cofnęło się i ostrzeliwało miasteczko, gdzie już w każdym oknie wisiała biała flaga. Po kilku godzinach przyjechały ciężarówki z jedzeniem. Te, które rzuciły się łapczywie na jedzenie, ciężko to odchorowały, niektóre zmarły w dniu wyzwolenia. Aleksandra nie mogła jeść, a przy jej łóżku rosła góra paczek, które potem przydały się, bo niedaleko był obóz koncentracyjny Buchenwald. Amerykanie jechali tam zawieźć jedzenie i leki.

- Zabrałam się z nimi. Nie mieliśmy pojęcia w jak potwornym stanie byli więźniowie, niektórzy nie mogli nic przełknąć, umierali. Bardzo to przeżyłam, po drodze ciągle myślałam o moim uwięzionym w obozie bracie. Zbliżał się sowiecki front, więc Amerykanie przewieźli nas do zachodnich Niemiec. Mijałyśmy Norymbergę, która została zrównana z ziemią, tylko z okien piwnic patrzyły na nas wystraszone oczy. Umieszczono nas w obozie w amerykańskiej strefie, chociaż oczywiście byliśmy wolne i mogliśmy swobodnie wychodzić. Wkrótce zaczęli przyjeżdżać mężczyźni poszukujący bliskich. Niektórzy Polacy pracujący na robotach przymusowych w fabrykach, gospodarstwach, więźniowie obozów koncentracyjnych czy jenieckich, zastanawiali się, wracać do domu, czy zostać. Aleksandra z Jerzym nie brali tego pod uwagę, w lutym 1946 roku wrócili do Poznania.

* Aleksandra Schmidt, z domu Marcinkowska, urodziła 2 marca 1923 r. w poznańskiej rodzinie Jakuba i Marii z domu Czajka. Przed wojną ukończyła szkołę powszechną, rozpoczęła naukę w Gimnazjum im. Dąbrówki w Poznaniu. Była harcerką. Do 1942 r. pracowała w drukarni św. Wojciecha w Poznaniu w introligatorni, następnie w księgowności. Od 1940 r. działała jako łączniczka w tajnej organizacji konspiracyjnej „Ojczyzna”. Zagrożona dekonspiracją wyjechała do Warszawy. Tam kontynuowała działalność w „Ojczyźnie” oraz Armii Krajowej jako łączniczka i maszynistka. Na tajnych kompletach ukończyła gimnazjum. Uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim w Batalionie „Bełt” w Plutonie Sanitarnym Kompanii Kobiecej w dzielnicy Śródmieście. Po kapitulacji powstania przebywała w obozach jenieckich w Łambinowicach, Mühlberg, Altenburg, Mohlsdorf. W lutym 1946 r. powróciła do Poznania. Wyszła za mąż za Jerzego Schmidta. Ma dwóch synów. Jest członkinią Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręg „Wielkopolska” w Poznaniu. W sierpniu 2014 r. otrzymała mianowanie na stopień kapitana.

Żołnierz dwóch konspiracji

Mieczysław Wojciechowski w czasie wojny był żołnierzem Okręgu Białostockiego Armii Krajowej, później żołnierzem wyklętym w tzw. drugiej konspiracji. Dziennikarce „Wiadomości Kościańskich” opowiedział swoje wojenne losy.

Rodzina była z dziada pradziada zasiedziała na Białostocczyźnie. Stamtąd pochodzili rodzice, ich rodzeństwo i dziadkowie. Ojciec Tadeusz, rocznik 1900, urodził się w Grajewie. Mieście powiatowym z długą historią, na przemian polską, pruską, rosyjską i znowu polską. Za młody na udział w I wojnie światowej, działał w „Strzelcu”, a później - jak jego bracia - bił się w wojnie polsko-bolszewickiej. W cywilu nie mógł znaleźć pracy, toteż długo się nie namyślał, kiedy nadarzyła się praca w służbie więziennej. Często go przerzucano. W 1929 r. został oddelegowany do zakładu karno-śledczego w Baranowiczach. W mieście stacjonowała znakomita Nowogródzka Brygada Kawalerii, której dowódcą krótko przed wojną został generał Władysław Anders. W areszcie przeważnie siedzieli Białorusini. Tych to się żarty trzymały. Jeden, który czasem pomagał w domu, nałapał wróbla do worka i kazał mi kilkuletniemu brzdącowi rozwiązać go w domu. Nie pamiętam jak to się skończyło, ale pewnie rozpętała się niezła awantura. W Baranowiczach urodziła się najmłodsza siostra Wiesława. Potem ojca przeniesiono do poprawczaka pod Warszawę, a stamtąd do



Mieczysław Wojciechowski, ps. „Krzemień”

Poznania, gdzie do września 1939 r. był strażnikiem w areszcie na Młyńskiej.

Rwałem się do wojaczki

Byłem zuchem, a potem harcerzem Poznańskiej Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego. Ostatnie beztróskie lato spędziłem na obozie harcerskim w majątku Gołaszyn pod Obornikami. Miałem już 15 lat, więc wciągnięto mnie i kolegów do obrony przeciwlotniczej. Po powrocie z obozu na 1 września zapowiedziana była zbiórka. Wojna wojną, a my przed południem stawiliśmy się w szkole. Rozpętało się piekło. Bomba uderzyła w naszą szkołę. Wybiegliśmy na ulicę, a tam człowiek z urwaną nogą, krew się lała. Zerwałem firankę z okna, gdzie bomba wybiła szybę i związałem ponad raną, żeby zatamować krwawienie. Zanieśliśmy go do najbliższego szpitala. Tam już byli pozostali koledzy z harcerstwa. Razem ratowaliśmy rannych i zasypanych pod gruzami, transportowaliśmy do szpitala. Tego dnia do domu już nie wróciłem. Rodzice odchodzili od zmysłów. Ale ja przecież byłem na wojnie.

Drugiego września wróciłem do domu. Rodzice z radości, zem cały i zdrowy, nawet wielkiej bury nie dali. Jako rodzina urzędnicza ewakuowaliśmy się na wschód kraju. Po wrześniowym epizodzie czułem się żołnierzy pełną gębą. Chciałem dołączyć do wojska, ale ojciec dobrze mnie pilnował. Pod Warszawą nasz pociąg rozbito, dalej jechaliśmy furmanką. W stolicy przysparnęła nas i ugościła rodzina żydowska. Stamtąd do Białegostoku szliśmy chyba ze trzy tygodnie. Miałem najgorzej, bo dźwigałem na plecach maszynę do szycia Singera, mojej starszej siostry Jadwigi. W Białymstoku zatrzymaliśmy się u krewnych ojca.

Wciąż rwałem się do wojaczki. W czerwcu 1941 roku jak Ruscy uciekali przed Niemcami, z kolegami poszliśmy „rozbijać” więzienie. Różne rzeczy tam zostały; jedzenie, mundury, ale mnie oczywiście interesowało tylko jedno – broń. Wyszedłem

stamtąd jako właściciel sznaucera. Moja radość była jednak krótka. Ojciec mi ją odebrał i utopił w studni. Z żalu prawie płakałem. I tak tylko czekałem okazji, żeby przyłączyć się do konspiracji. Wreszcie w sierpniu 1941 roku wstąpiłem do Bojowej Organizacji Wojskowej. Pracowałem w firmie instalacji hydraulicznej Niewiadomskiego. Majstrem był tam Józef Rzędzin. Porządny chłop. Trochę mnie poobserwował, uważał, że się nadam. On też odebrał ode mnie przysięgę. Przyjąłem pseudonim „Krzemień”, że niby taki twardy jak kamień. Byłem kolporterem podziemnej prasy i wywiadowcą. W domu nic nie wiedzieli. Potem wyszło na jaw, że w rodzinie było nas takich więcej, tylko każdy cicho siedział. Siostrę Jadwigę wciągnął komendant Obwodu Białystok Związku Walki Zbrojnej Michał Dziejma, ps. „Boruta”, jej narzeczony, a później mąż.

Rozbicie Arbeitsamtu

BOW w lutym 1942 r. przyłączyła się do AK. Wtedy pracowałem jako pomocnik ślusarza w rzeźni w Białymstoku. Zaprzyjaźniłem się tam z Czesławem Bykowskim, wciągnąłem go do AK. W wieży ciśnień urządziliśmy mały arsenał; kilka zdobycznych granatów, jakieś pistolety. Wkrótce otrzymałem rozkaz utworzenia sekcji dywersyjnej AK. Tymczasem Niemcy dostawali popalić na wszystkich frontach i potrzebowali więcej niewolników do darmowej pracy. Ja także trafiłem na listę, ale zostałem wykupiony przez organizację. Wywózki nasilały się, więc padł rozkaz zniszczenia Arbeitsamtu, czyli niemieckiego urzędu pracy w Białymstoku. Z rozpoznania wiedzieliśmy, że strażnikiem był Polak, natomiast nie wiedzieliśmy, że także był w konspiracji. Po wejściu związaliśmy go, żeby nie został posądzony o współpracę z nami.

Budynek był chyba dwupiętrowy, z bańkami benzyny i nafty weszliśmy od podwórza. Każda sekcja otrzymała określone zadanie; chłopcy na ostatnim piętrze podpalali na



Kolekty z konspiracji, od prawej: Wojciechowski, Bykowski i Powichrowski

początku, uciekali na niższe piętra i wtedy zapalali następni. Narobiliśmy niezłego bałaganu. Kartoteki, biurka, maszyny do pisania rzucone na stos paliły się aż miło. My na parterze czekaliśmy na wszystkich, żeby na końcu podłożyć ogień. Palił się już prawie cały gmach, zostaliśmy tylko my z kiepsko palącą się naftą. Nerwowe myśli. Co robić! Miałem kowbojskiego kolta z trzema nabojami, jak walnąłem w puszkę, taki płomień wystrzelił, że jednego z naszych poparzyło, a reszcie odcięło odwrót. Pobiegliśmy na zaplecze, wybiliśmy szybę i każdy prysnął w swoją stronę. Zadekowaliśmy się, gdzie kto mógł czekając, jak się sprawy potoczą. O dziwo, Niemcy nie mścili się, za to wielu młodych uniknęło koszmaru robót przymusowych.

U „Szarego”

W lipcu 1944 r. w czasie akcji „Burza” otrzymałem rozkaz przejścia do Puszczy Knyszyńskiej do batalionu „Hańcza”. Poszedłem z kolegami: Bykowskim, Kondrackim. W sumie kilkudziesięciu chłopaków nas szło do kapitana Stanisława Grygi – „Szarego”. Zostałem dowódcą sekcji dywersyjnej. Pierwsza akcja. Lipiec, gorąco. Ładne dziewczęta zrywają czereśnie z drzew. Śmieją się, częstują. Za jakiś czas łącznik przekazuje polecenie, żeby zająć się dziewczynami, które sympatyzowały z Niemcami. Okazało, że to były te od czereśni. Mnie przypadła nieprzyjemna rola „fryzjera”. Krzyk był jak cholera, ale nie dostały batów, tylko to ostrzeżenie.

W lesie nie mieliśmy namiotów, spaliśmy na wiekowych rozłożystych gałęziach świerków. Zaraz drugiego dnia, miejscowy łącznik zaalarmował nas o taborze niemieckim idącym przez puszcę. Zgłosiłem się z chłopakami na ochotnika. Miałem – pamiętam jak dziś – starą parabelkę, którą mogłem rozkładać i składać z zamkniętymi oczyma. To była dobra broń, tylko wymagała bardzo starannego utrzymania. Patrzymy, jedzie szpica, trzech czy czterech na koniach. Wyskoczyliśmy. Dobrze uzbrojeni, ale jak barany zeszli z koni, oddali i broń, i konie. Nasi

ich zabrali, a myśmy poszliśmy dalej. Rozpętała się strzelanina. Tylko że my z pistolecikami naprzeciwko automatów. Pech chciał, moja broń zacięła się. W końcu nie udało nam się ich rozbić. Wycofaliśmy się. Po akcji wzbogaciłem się o automat i buty, co prawda za duże, ale napchałem słomy i jakoś chodziłem. Z wycofującymi się Niemcami stoczyliśmy jeszcze trochę potyczek, m.in. w Rybniku, Supraślu.

Do Rosjan chodziliśmy na rozmowy w obstawie komendanta „Szarego”. Wedle niepisanej umowy żadna ze stron miała być bez broni. W rzeczywistości i oni, i my byliśmy uzbrojeni po uszy. Najczęściej uzgadniano wspólne akcje przeciw Niemcom. Kiedyś w drodze na spotkanie w Sowiecie, postanowiliśmy chwilę odpocząć w zbożu, bo strasznie gorąco było. Nagle zjawił się samochód z niemieckim wojskiem. Rozbiegliśmy się. Z kolegą wpadłem do drewutni, patrzymy idzie szwab, strzeliłem do niego. Traf chciał, że akurat na linii strzału znalazła się kobieta i ją w rękę zraniłem. Wycofaliśmy się, ale jak tu z powrotem trafić do oddziału? Błądząc spostrzegliśmy bęben z przewodami do stanowisk niemieckiej artylerii. Przecięliśmy je, ale nie mogliśmy zostawić, bo znowu by je połączyli. Tachaliśmy je przez las i tak dotarliśmy do obozu. Otrzymaliśmy rozkaz zrobienia zasadzki na tych łącznościowców. Ale któremuś z naszych nerwy puściły i za szybko zaczął strzelać, więc szwabki pouciekały.

Pod koniec lipca 1944 r. słyszeliśmy już strzały od Białegostoku. Rosjanie nacierali całą siłą. Z tą pierwszą linią mieliśmy kontakt, dali nam nawet granaty i naboje. Z naszym dowództwem mieli się spotkać i ustalić kolejne akcje, ale padł rozkaz demobilizacji. Zakopaliśmy broń i każdy poszedł do domu, a dla mnie rozpoczął się właściwie czas drugiej konspiracji. Chciałem przedostać się na pomoc walczącej Warszawie, jednak nie udało mi się. Trafiłem do wspomnianego już „Boruty” Michała Dziejmy, zostałem łącznikiem w II Inspektoracie Mazowieckim AK. Byłem tam do listopada 1944 r. aż do jego aresztowania przez NKWD.



Kpt. Wojciechowski z Regim. Linkowską, prezes „Ostrej Bramy” na wroczystościach rocznicy Powstania Warszawskiego w Poznaniu 2012 r.

Rodzina bardzo wycierpiała od Sowietów. Najpierw przyszli po moją ciotkę Eugenię Foryś, której mąż Wincenty był w Korpusie Ochrony Pogranicza. W listopadzie 1944 r. aresztowali matkę z siostrami i osadzili w Ostaszkowie. Przeszły przez piekło. Ojciec zmarł w 1942 r. na tyfus, gdyby nie to, jako pracownik służby więziennej też by mu nie odpuścili.

Sekcja do zadań specjalnych

Po ich aresztowaniu wróciłem do Białegostoku, gdzie na polecenie komendanta Obwodu AK Białystok Czesława Hakke, ps. „Filip” utworzyłem i dowodziłem sekcją dywersyjną do zadań specjalnych. Tropiliśmy kolaborantów, zdrajców zarówno tych z 1939 r., którzy wydawali naszych Niemcom, jak i tych, którzy w 1941 r. wydawali naszych żołnierzy Rosjanom. Byliśmy doskonale wyposażeni w broń, bo nawiązał z nami kontakt Franciszek Romejko ps. „Gotów”, który uzbrojenie i mundury „organizował” z karnej kompanii, gdzie przetrzymywano dezertów od Berlinga. Mało tego, od Romejki znaleźliśmy hasła Sowietów i berlingowców i swobodnie się poruszaliśmy po mieście. Działaliśmy w nocy.

W styczniu Armia Krajowa została rozwiązana. Władysław Liniarski komendant Białostockiego Okręgu AK został komendantem Armii Krajowej Obywatelskiej. Przemieszkowałem u Czesia Bykowskiego, otrzymywałem żołd, około 20 dolarów miesięcznie. Ciągłe myśleliśmy, że wybuchnie trzecia wojna światowa. Coraz więcej słyszało się o aresztowaniach dowódców i kolegów. W lipcu 1945 r. w Brwinowie pod Warszawą wpadł komendant Liniarski. Także w lipcu bezpieka zabiła naszego dostawcę Romejkę. Dookoła nas zaczęło się robić gorąco. Dalsza walka stawała się beznadziejna. We wrześniu jako podporucznik złożyłem broń.

Z Czesławem Bykowskim i Henrykiem Powichrowskim wyjechaliśmy do Poznania, gdzie zaczęliśmy się w warsztatach samochodowych Cegielskiego. Dostałem powołanie do wojska,

a że wcale nie uśmiechało mi się służyć komunistom, wyjechaliśmy na krótko do Ustki, potem do Gdyni. W końcu pojechałem do Heleny, mojej dziewczyny, do Szczecina. Zapisałem się gimnazjum dla dorosłych. W 1947 r. pojechałem do Warszawy ujawnić się. Przed ubekiem przeszedłem spowiedź powszechną, jak myśmy to nazywali. Kiedy mnie zapytali dokąd pojedę, odparłem dla zmyłki, że do Białegostoku. Potem mnie tam szukali. Siostra wychodziła za mąż to cały dom obstawili. Nie pojechałem. Białystok odwiedzałem zakamuflowany, z zabandażowanym okiem. Natomiast szczecińskie UB w nocy zaraz po powrocie z Warszawy przyjechało mnie aresztować. Już wiedzieli, że byłem w AK. Helenę też aresztowali. Po kilku godzinach nas wypuścili. W 1948 r. ożeniłem się z Helenką, a w 1958 r. przenieśliśmy się do Poznania, gdzie mieszkam do dzisiaj.

*** Kapitan rez. Mieczysław Wojciechowski ur. się 6 kwietnia 1924 r. w Białymstoku. Od 1941 r. działał w konspiracji, w Bojowej Organizacji Wojskowej, od 1942 r. w Okręgu Białostockim AK, jako dowódca sekcji Kedywu, następnie dowódca sekcji dywersyjnej w batalionie partyzanckim „Hańcza”. Od stycznia do września 1945 r. w Armii Krajowej Obywatelskiej. Ukończył konspiracyjną szkołę podchorążych „Inspektoratu Białostockiego”. Ważniejsze odznaczenia: Krzyż Walecznych (1944 r.), Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami (1945 r.), Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami (1944 r.). W 1948 ożenił się z Heleną z d. Greffing. Żona zmarła w 1998 r. Dwoje dzieci, córka i syn, troje wnuków i troje prawnuków.**



Wręczenie medalu Pro Patria na uroczystym posiedzeniu Wojewódzkiej Rady Komitantów i Osób Represjonowanych 27 czerwca 2012 r. Fot. Sebastian Mikołajczak/Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego

Spis treści

